Dziś w numerze: ● Ważne sprawy włókniarzy ● Blaski i cienie ● Nowa pacjentka ● Uciekaj przed widmem ● Mister Jazz ● Wiersze ● Recenzje ● Felietony

odgłosy

Nr 27 (441)
9. VII. 1967 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X

Foto: Hartwig

KONRAD FREJDLICH

Saga rodu Kabzów

Dom doktora Kabzy stanął na pryncypalnej ulicy Dobronia. Tuż przy stacji kolejowej, a niedaleko od przystanku PKS. Jest ogrodzony siatką, jak wille na przedmieściach; tylko tutaj furtka wiecznie stoi otworem. Obok domu — ogródek.

W tym roku doktor nasadził truskawek. Podano je na stół. I rozmowę zaczęliśmy po gospodarsku. Ja chwaliłem plon. Doktor zwierzał mi się ze swoich planów rolniczych. Chciałby spróbować, jak udadzą mu się kwiaty. Doktor Kabza kocha ziemię, jak kochał ją senior rodu, chłop Wiesław Kabza, który zamknął oczy jeszcze w 1918 roku. Ale tradycja rodzinna zachowała żywe wspomnienie tego niezwykłego człowieka, wójta gminy, który na przełomie naszego wieku założył w Dobroniu bibliotekę, jedną z pierwszych w powiecie i zapisał się w pamięci jako twórca orkiestry istniejącej nieprzerwanie od 1902 roku. W orkiestrze tej do dziś gra ojciec doktora Kabzy, Lucjan, sędziwy starzec. W latach studenckich sam doktor próbował swych sił w grze na saksofonie.

Po prawdzie, Dobroń z dawien dawna był wsią dość niezwykłą. Imię wioski, a teraz już właściwie półmiejskiego osiedla, okazało się szczęśliwe. Jeszcze w wieku ubiegłym, wkrótce po upadku powstania styczniowego, dziedzic Keller otworzył w swoim budynku bibliotekę. Nazwisko jego brzmiało z niemiecka, ale był patriotą polskim. Zaabonował dla chłopów wychodzącą w Krakowie gazetę „Zaranie", sprowadził nieco książek. Kłopot w tym, że rzadko który chłop znał drukowane, książki czytano więc na głos. Fachowe, rolnicze i te z niezwykłymi przygodami, które uczyły polskości. W 1909 roku powstało w Dobroniu Kółko Rolnicze i wieś zasłynęła daleko z wysokiej kultury rolnej. Trzy osoby ze wsi posłano, jak to się wówczas powiadało, do szkół. Zorganizowano też straż ogniową. Orkiestra, jak to wiemy, istniała już wcześniej. Narodziła się z wiejskiej kapeli, która przygrywała na weselskach. Nut nikt wtedy nie znał we wsi, ale że Dobroń leży blisko miasta Pabianic, szybko znalazła się na to rada. Nauczał tam muzyki Juliusz Prosnak, wymagający niczym Paganini, który szybko przemienił wiejskich grajków w muzykantów, których nie powstydziłaby się niezła orkiestra symfoniczna. Wiesław Kabza chodził od chałupy do chałupy i zbierał pieniądze na instrumenty, które sprowadzono z samego Wiednia. Ale krótko służyły, zaledwie trzy lata. W roku 1905 orkiestra z Dobronia zagrzewała do walki strajkujących w Pabianicach robotników.

Dalszy ciąg na str. 4

TERESA WOJCIECHOWSKA

Na depresje i obsesje —OPOLE

Przez cztery dni żar lał się z nieba na nieckę amfiteatru. Jak to powiedział pan prezes Sokorski — nawet niebiosa sprzyjały opolskiej imprezie. Sprzyjali jej właściwie wszyscy zainteresowani, jedni z większym pożytkiem dla niej, inni dla siebie. W dniu naszego przyjazdu wykryto lewą produkcję biletów na koncerty festiwalowe. Pewien miejscowy, zapoznany plastyk, podjął pracochłonną ręczną produkcję karnetów na imprezy festiwalowe. Obliczono, że zajęło mu to co najmniej trzy tygodnie, ale w sumie chyba się opłaciło, bo teraz jest już znany. Ceny biletów na recitale i kabarety przekraczały u koników 100 zł.

W zeszłym roku dopiero po festiwalu odkryto w piwnicach hotelu „Toropol" „mennicę" bijącą pamiątkowe żetony festiwalowe na większą skalę. Jeśli na te fakty spojrzeć z innej strony, to świadczą one pozytywnie o zainteresowaniu miasta Festiwalem. Tak samo jak rabunek sklepu radiowo-telewizyjnego można tłumaczyć gorącym pragnieniem posiadania telewizora na okres Festiwalu.

FESTOSO

Tegoroczny Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu był jubileuszowy, bo piąty. Jubileuszowo, po raz piąty można też wygłaszać peany na cześć miasta, jego wspaniałych gospodarzy i organizacji imprezy. Wystawa rzeźby plenerowej, dekoracja gmachów, skwerów, parków, sklepowych wystaw, dwa tysiące flag, rozwieszone nad miastem girlandy żarówek i barwnych proporczyków, zasadzone 10 tysięcy kwiatów. Co krok kioski z pamiątkami i upominkami, na poczcie okolicznościowy datownik, w sklepach i na stoiskach barwne pamiątkowe chustki, ręczniki z tkanym napisem „V Festiwal Piosenki w Opolu", proporczyki, długopisy, pocztówki i Bóg wie co jeszcze. Gospodarze wynajmujący pokoje na kwatery hotelowe hołubią swych gości jakby zarabiali na nich majątek a nie 55 zł za dobę minus podatek.

FUGA

Atmosfera w Opolu była prawie sielska, tylko gdzieś podziemnym nurtem wrzał antagonizm: dziennikarze — komisja artystyczna Festiwalu. Zaczęło się zresztą sielsko. Pierwsze spotkanie — konferencja prasowa odbyła się podczas pięknej wycieczki Odrą na statku „Rusałka", kiedy to przewodniczący komisji artystycznej Festiwalu pan Edward Fiszer opowiedział o pracy komisji, która naharowała się setnie przed Festiwalem, a Festiwal pokaże co też komisja narobiła. Kiedy już się okazało co narobiła, to sielanka się skończyła. Piątkowa konferencja prasowa — spotkanie z autorami piosenek i wykonawcami nie należała do udanych, bo przyszli tylko dziennikarze. Na sobotnie spotkanie z członkami komitetu organizacyjnego i komisji artystycznej przyszli sami dziennikarze. Komisja przebywała w „Pajaku" (uniwersalny lokal gastronomiczny, przez 361 dni w roku niewątpliwie sympatyczny). Dziennikarze dyskutowali więc w idealnej harmonii, zgodnie krytykując potknięcia artystyczne komisji i jedność poglądów była tak znakomita, że aż konferencję trzeba było przerwać, bo nie było co dyskutować. Do „Pajaka" dotarło, że dziennikarze mówili brzydkie rzeczy więc na niedzielną konferencję prasową zjawiły się obie strony w silnej reprezentacji. Temperatura powietrza wynosiła jednak około

Dalszy ciąg na str. 4

ze ŚWIATA

Spotkania premiera Kosygina z prezydentem Johnsonem w Glassboro, które dla wielu obserwatorów politycznych były zaskoczeniem, żywo komentowane są w prasie światowej. 10 godzin spędzonych na rozmowach politycznych, jest przedmiotem dociekań i domysłów, a skala ocen dialogu bardzo duża. Jedni mówią o duchu Glassboro, co ma znaczyć, że spotkania zapoczątkowały jak gdyby nowy etap w stosunkach między obu supermocarstwami, inni oceniają ich przebieg nader pesymistycznie. Właśnie na skutek takiej rozpiętości ocen warto do spotkań tych powrócić.

Fakt pierwszy, zasługujący na uwagę, to samo dojście do rozmów w tak złożonej, pełnej napięcia sytuacji międzynarodowej. Jest to objaw pocieszający, świadczący o zrozumieniu swej roli przez wielkie mocarstwa, które przecież w pierwszej kolejności odpowiedzialne są za powszechny pokój.

Godząc się na bezpośredni dialog premier Kosygin dał raz jeszcze wyraz głęboko pokojowej polityki Związku Radzieckiego i szukania, nawet w najtrudniejszych momentach, pokojowych rozwiązań.

Fakt drugi, równie interesujący, to umieszczenie konfliktu bliskowschodniego w szerokim kontekście aktualnych problemów międzynarodowych. Jest to potwierdzeniem znanej prawdy, że we współczesnym świecie nie ma zjawisk izolowanych i że linii odprężenia nie można kształtować tylko na jednym kontynencie.

Fakt trzeci — to związanie dwóch obecnie najniebezpieczniejszych ognisk zapalnych: Wietnamu i Bliskiego Wschodu z przeciwdziałaniem proliferacji broni nuklearnej. Jak się wydaje z wypowiedzi obu rozmówców — tu perspektywa zarysowała się najpomyślniej, co niektórych komentatorów skłania do przewidywań, że czas zawarcia takiego układu jest niedaleki.

I wreszcie fakt czwarty — uzgodnienie, że rozmowy radziecko-amerykańskie będą kontynuowane za pośrednictwem min. Gromyki i sekretarza stanu Ruska, ambasadorów obu krajów, a w miarę potrzeby i na najwyższym szczeblu.

To są zyski, wypływające ze spotkań dla sprawy światowego pokoju.

Ale jednocześnie rozmowy nie wykazały, aby można było oczekiwać — przynajmniej w bliskim czasie — rozwiązań dyplomatycznych konfliktu bliskowschodniego i wojny wietnamskiej. W tych kwestiach między obu stronami utrzymały się głębokie rozbieżności. Na Bliskim Wschodzie bowiem — zdaniem Związku Radzieckiego, a jak wykazała sesja ONZ, i większości krajów uczestniczących w debacie — główną sprawą jest wycofanie przez agresora swych wojsk poza linie rozejmowe, a w Wietnamie — zaprzestanie bombardowań DRW oraz wycofanie wojsk interwencyjnych z południowej części kraju. Niestety — polityka amerykańska nie idzie w tym kierunku. Glassboro nie przybliżyło tutaj stanowisk, bo też nie zarysowała się żadna zmiana w postawie Stanów Zjednoczonych.

W czasie radziecko-amerykańskiego szczytu nastąpiła korzystna konfrontacja poglądów i wyjaśnienie stanowisk. To na pewno mało, aby sądzić, że po rozmowach znikną niebezpieczeństwa, jakie niesie dla świata rozwój wydarzeń na Bliskim Wschodzie i w Wietnamie, ale to dużo, aby wierzyć, że otwarto pewne szanse na przyszłość.

Po tych kilku uwagach na temat rozmów Kosygin-Johnson chciałbym jeszcze przez chwilę zatrzymać czytelników na zagadnieniu likwidacji skutków agresji Izraela na kraje arabskie. Jak wiadomo — 30 czerwca zakończyła się debata generalna w ONZ. Nie oznacza to jednak, aby zakończyła się działalność dyplomatyczna, związana z konfliktem. Sytuacja — w chwili, gdy oddaję komentarz do druku — wskazuje raczej na to, że najbliższe tygodnie wypełnione będą intensywną pracą, która z pewnością nie ustanie aż do rozpoczęcia normalnej sesji. Punkt ciężkości przeniesie się najprawdopodobniej na forum Rady Bezpieczeństwa, na którą spadnie obowiązek szczegółowego przedyskutowania warunków przywrócenia pokoju. Nie będzie to łatwe, jeśli zważyć, że napastnik w dalszym ciągu zachowuje się prowokacyjnie. W ub. tygodniu parlament Izraela przyjął na przykład kilka uchwał, zatwierdzających aneksję zagarniętych terenów oraz ustanawiających tam izraelskie stosunki prawne i administracyjne.

Jest to oczywista próba stwarzania faktów dokonanych, mimo iż przytłaczająca większość członków ONZ uznała wycofanie się wojsk Izraela z zagarniętych ziem za podstawowy warunek uregulowania konfliktu. W tej sytuacji nie można wykluczać jeszcze niebezpiecznych komplikacji.

• • •

Z wydarzeń ostatniego okresu trzeba odnotować m. in.: wizytę premiera Kosygina na Kubie i jego ponowne spotkanie z prezydentem de Gaulle'em, przyjazd premiera Pompidou do Związku Radzieckiego oraz rozmowy polsko-wietnamskie w Hanoi, po których komunikat ogłoszony został w codziennej prasie. Mimo, iż lato już w pełni — jak widać — politycy nie mają ani chwili wytchnienia...

W. SŁAWSKI

Kronika TYGODNIA

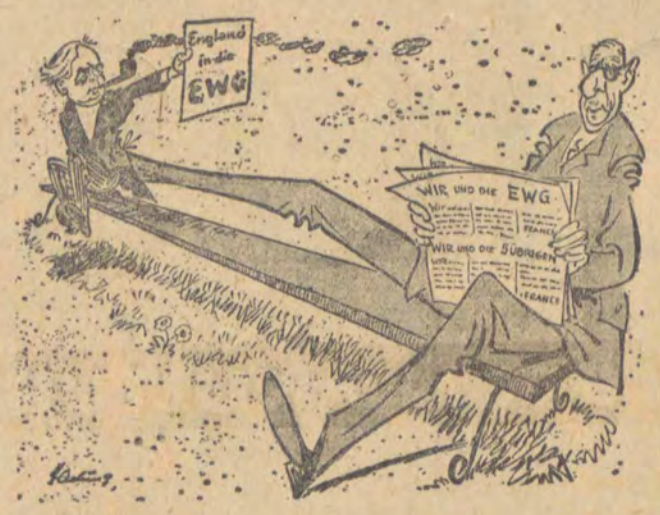

■ **„New York Times": Byłoby lekkomyślnością twierdzić, że w wyniku rozmów w Glassboro może być osiągnięte jakieś rewelacyjne rozwiązanie najpoważniejszych problemów, jakimi są Wietnam i Bliski Wschód. Lecz nawet niewielki postęp i częściowe porozumienie między Moskwą i Waszyngtonem mogą wywrzeć realny i pożyteczny wpływ na sytuację światową.**

■ **Al Ahram: „Żaden z nas nie może zasiąść do stołu rokowań z Izraelem nawet jeśli wszystkie działa VI floty amerykańskiej będą wymierzone w nas. Ani piędź ziemi arabskiej nie może być utracona, nawet jeśli będziemy zmuszeni w tym celu pójść na wojnę po raz drugi".**

■ 6 chińskich miast i prowincji, w których znajdują się komitety rewolucyjne rozważa możliwość przeprowadzenia wielkiego konkursu ascetyzmu i spartańskiego trybu życia.

■ Bułgarzy zamierzają wprowadzić pod koniec bieżącej pięciolatki pięciodniowy tydzień pracy. Ekonomiści bułgarscy z uwagą obecnie śledzą doświadczenia jakie w tej dziedzinie uzyskuje ZSRR, NRD i Czechosłowacja.

■ **Publicysta kairski Heikal zaatakował w artykule poświęconym aktualnej sytuacji na Bliskim Wschodzie prezydenta Johnsona, pisząc, iż korzysta on z usług syjonistycznych, żydowskich doradców, powierzając im zadanie powiększenia jego osobistej fortuny, sięgającej obecnie ponad 3 miliony dolarów.**

■ Chiny wystosowały protest przeciwko decyzji radzieckiej, według której obywatele chińscy wyjeżdżający na terytorium ZSRR od 1 lipca 1967 roku obowiązani są przedstawić międzynarodowe świadectwo szczepienia ospy i cholery.

■ **Izraelski minister obrony Mosze Dajan oświadczył w wywiadzie dla szwajcarskiego tygodnika „Die Weltwoche", że Izrael nie odejdzie z okupowanego terytorium od „Kantary po Kunejtrę" o ile Arabowie nie ulegną dyktatowi Tel Awiwu podpisując układy pokojowe.**

■ W Hawanie zakończyły się rozmowy premiera ZSRR A. Kosygina i Fidela Castro. W drodze powrotnej do Moskwy szef państwa radzieckiego przeprowadził rozmowy z prezydentem Francji de Gaulle'em.

■ **„L'Humanite": „Podkreślaliśmy już, dziwaczny i różnoraki charakter koalicji, która podczas kryzysu na Bliskim Wschodzie manifestowała swe poparcie dla Izraela. Zawodowi antysemici, antyarabscy rasiści, ultrasi francuskiej Algierii i OAS-owcy, zwolennicy Maurassa i vichyści, ta klasyczna prawica przyciągnęła do siebie niektóre osobistości lewicowe".**

■ „Litieraturnaja Gazieta" zamieszcza artykuł swego komentatora poświęcony analizie serii publikacji amerykańskiego publicysty Malleya, który jako pierwszy od dwu i pół roku dziennikarz zachodni uzyskał wywiady od najwyższych dostojników chińskich. Oto fragment komentarza radzieckiego pisma: Przywódcy chińscy oświadczają: „jeżeli w Wietnamie będzie wojna wszystko będzie znakomicie, w tym przypadku Chiny nie będą ingerować i nie zamierzają podjąć zdecydowanych środków przeciwko agresorom amerykańskim. Jeśli natomiast walczące strony podejmą rokowania pokojowe, Chiny nie będą tego tolerować i zaczną podsycać wojnę własnymi akcjami. Na uwagę zasługuje jednakowoż stosunek Chin do agresora i do ofiary agresji. Wietnamczykom Pekin powiada: Walczcie do ostatniego żołnierza. Stanom Zjednoczonym zaś oświadcza — Walczcie ile chcecie, będziemy z tego zadowoleni. W istocie rzeczy przywódców chińskich bynajmniej nie obchodzą — kontynuuje pismo — interesy narodowe Wietnamczyków. Pragną oni tylko jednego: doprowadzić do rozszerzenia agresji USA w nadziei, że wcześniej czy później zrealizuje się marzenie Mao Tse tunga o konflikcie radziecko-amerykańskim.

■ **Członek prezydium KC KPCz J. Hendrich zabrał głos na IV Zjeździe Związku Literatów Czechosłowackich. Oświadczył on m. in.: „Pojmowanie wolności twórcy w ten sposób, że ma on prawo robić wszystko bez jakiejkolwiek odpowiedzialności, że ma prawo zajmować pozycję ponadklasową i abstrakcyjnie humanistyczną, byłoby równoznaczne z powrotem kultury do okresu, gdy musiała walczyć o swe podstawowe prawa. Mówiąc konkretnie oznaczałoby to utrzymanie w dziedzinie kultury tendencji subiektywistycznych i sekciarskich".**

■ Jak donosi prasa japońska premier Czou En-laj miał oświadczyć, że jednym z celów rewolucji kulturalnej jest przygotowanie Chin na atak ze strony Stanów Zjednoczonych, aczkolwiek Chiny same nigdy nie zaczną działań zaczepnych. Czou En-laj przy tym stwierdził, że „w wypadku wkroczenia na terytorium chińskie, ani jeden żołnierz amerykański nie wyjdzie z Chin żywy".

■ **Minister do spraw ogólnoniemieckich i wiceprzewodniczący SPD Wehner wypowiedział się za przywróceniem działalności KPD. Na pytanie: czy potrzebni są nam komuniści — Wehner odpowiedział: narodowi naszemu nie zaszkodziłaby możliwość wewnątrzpolitycznej polemiki z Partią Komunistyczną.**

■ Najpoważniejszą pozycję w imporcie radzieckim z krajów kapitalistycznych stanowią maszyny i urządzenia przemysłowe. W okresie 20 lat powojennych Związek Radziecki zakupił w różnych krajach kapitalistycznych maszyny i urządzenia za sumę 4,9 miliarda rubli, co stanowi 37 proc. ogólnego importu Związku Radzieckiego z tej grupy państw.

■ **W amerykańskim magazynie „Look" ukazała się relacja naczelnego redaktora tygodnika z jego rozmów na tematy wietnamskie, przeprowadzonych w czasie podróży sondażowej do Związku Radzieckiego. Radzieccy przywódcy ostrzegali — stwierdza autor — że kontynuowanie wojny wietnamskiej doprowadzi do krytycznej konfrontacji radziecko-amerykańskiej.**

■ Tygodnik SPD „Vorwärts" w omówieniu książki ekonomisty amerykańskiego Hansa Apel pt. „Rozbicie — Niemcy między rozsądkiem a zniszczeniem" — stwierdza, że autor książki „z dużą pewnością siebie i swobodą" feruje wyroki na temat NRD. W wyniku kilkakrotnych dłuższych pobytów w NRD oraz „wzmocniony w swych poglądach po uzyskaniu wglądu w tajny materiał statystyczny autor usiłuje" szczegółowo wykazać, że NRD mimo osłabienia spowodowanego przede wszystkim spłatami reparacyjnymi, jest na drodze doścignięcia NRF na wielu odcinkach. Apel oblicza, że najwcześniej w roku 1972, a najpóźniej w 1982 oba państwa niemieckie zrównają się w zakresie produktu społecznego.

■ **W kairskim dzienniku „Al Ahram" ukazał się artykuł komentatora tego pisma, Khouly po jego powrocie z Paryża. Autor komentarza pisze, iż dowiedział się w Paryżu, że rząd francuski był w posiadaniu informacji o tym, iż Izrael uzgodnił ze Stanami Zjednoczonymi niespodziewany atak lotniczy na ZRA, Syrię i Jordanię. Według komentatora Francja starała się o skonsultowanie z rządem izraelskim, chcąc powstrzymać go od realizacji tego planu, ale, jak oświadczyła jedna „wybitna osobistość" Pałacu Elizejskiego, „Izrael już nas nie słucha. Jego słuch skierowany jest bezpośrednio na Waszyngton".**

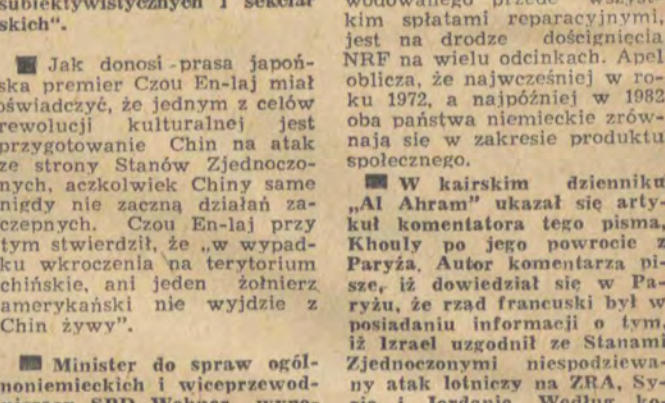

ONZ: Marzenie i rzeczywistość.

(International Herald Tribune)

LISTY do REDAKCJI

Z prawdziwą satysfakcją przeczytałem Pański artykuł pt. „Gastronomiczna kanonada", zamieszczony w nr 23 „Odgłosów" z 11. VI. 1967 r. ze względu na odważne i wnikliwe jak i celne przedstawienie tematu.

Jeśli Redakcję dalej pasjonuje ten temat podam Panu do ewentualnego wykorzystania autentyczny obrazek.

W ub. niedzielę (dn. 4. VI. 67) wybraliśmy się z żoną do Grotnik dla wypoczynku i turystyki.

Pogoda piękna. Licząc się, że w tych warunkach może być tłoczno w miejscowej restauracji „Leśniczanka" przy ul. Brzozowej, zabraliśmy z sobą za pas żywności.

Około godz. 16 pragnęliśmy skorzystać jedynie z drobnej usługi wymienionego lokalu, a mianowicie napicia się herbaty. Zachęcała nas słabą frekwencja oraz wielka ilość kelnerów, przewyższająca o wiele liczbę gości. Siedliśmy więc spokojnie w ogródku przy stoliku pod parasolem i bez „nerwów" oczekiwaliśmy w pięknym otoczeniu na pojawienie się kelnera. (Przysłani zostali „na pomoc" z Łodzi).

Gdy po dłuższej chwili nikt z obsługi nie raczył nas zauważyć, zwróciliśmy się do huśtającej się obok nas kelnerki z prośbą o podanie herbaty, odburknęła, zwrócona do nas tyłem: „kolega". Gdy i ten wskazany kolega dalej nie raczył nas zauważyć, choć ocierał się kilkakrotnie o nasz stolik i poza tym miał do obsługi tylko jeden stolik w swoim „rejonie", ponieważ inne były puste, trzykrotnie wzywaliśmy go do naszego stolika, ale nadaremnie.

Postanowiliśmy więc szukać szczęścia w innym rejonie i weszliśmy do wnętrza „Leśniczanki", sadowiąc się bliżej bufetu.

Tutaj również pozwolono nam czekać dłuższą chwilę. Wreszcie zjawił się kelner, którego poprosiliśmy o dwie herbaty i książkę zażaleń. Wskazał, że jest u bufetowej, która mi ją wydała.

Zacząłem więc pisać w niej uwagę o sposobie „obsłużenia nas", ponieważ herbaty w dalszym ciągu nie było na stole. Zaczęli się zjawiać jednak kolejno: osoba, która nam przedstawiono jako żonę kierownika lokalu, ponieważ on sam jest nieobecny. Ta zaczęła nas prosić, aby nie pisać żadnej uwagi żaląc się: „Takich ludzi nam przysyłają, z takimi musimy pracować". Nie chciała jednak podać nazwiska nietrzeźwego, jak się później okazało, kelnera. Po niej zjawił się inny kelner, również nietrzeźwy, z rejonu sąsiadującego z opisywanym przeze mnie w ogródku i poklepując mnie po ramieniu i nazywając „redaktorem" wyrażał opinię, że chyba ostatnie słowa wpisywanej przeze mnie do książki uwagi będą dla zakładu przychylne, również jednak nie chciał podać nazwiska swego kolegi, będącego przedmiotem mojej notatki w książce. Ten zaś przechodząc obok od czasu do czasu rzucał ironiczne uwagi pod moim adresem: „Jak jest redaktor, niech pisze". (Każdy wpisujący uwagi do książki zażaleń jest nazywany ironicznie redaktorem).

Wreszcie żona kierownika, ponawiająca swoje prośby, aby nie wpisywać uwagi do książki (od czego rzeczywiście miałem zamiar odstąpić), przyprowadziła do stolika kelnera (o którym później przypadkowo dowiedzieliśmy się, że zwą go „Zdzisiek"), aby nas przeprosił. Ten powiedział: „Nie mam za co przepraszać tu nie piekarnia, żeby tak od razu" i odwracając się zaczął mi grozić. Wobec czego uwagę o jego zachowaniu się wpisałem, dodając na koniec aby nie uogólniać, że poza tym byłem w tym lokalu dobrze obsłużony. Bowiem żona kierownika podała nam po dalszym odczekaniu herbatę osobiście.

Żona wyszła z lokalu nieco przede mną. Wtedy kelner „Zdzisiek" rzucił we mnie nożem stołowym, który trafił mnie w łydkę.

Udałem się po raz drugi po książkę zażaleń do bufetowej lecz ta odsyłała mnie do kierownika, którego nie było, do jego żony, która odsyłała mnie do bufetowej itd.

W końcu zebrał się w korytarzu prawie cały personel z szefem kuchni i przedstawiciel personelu (rady zakładowej?) siwowłosy szef oświadczył, że książki zażaleń nie dostanę.

Jeśli zanudziłem szczegółowym opisem zajścia, to nie dlatego, że uważam je za wyjątkowo ważne. Zdaję sobie sprawę, że mój opisany przypadek jest drobny choćby w porównaniu z wagą problemów, które poruszono w cytowanym we wstępie artykule.

I nie dlatego piszę, aby uzyskać zadośćuczynienie za wyrządzoną mi krzywdę, ale po to, aby dostarczyć dalszych materiałów do uogólnień i wniosków „pro publico bono".

Łącze wyrazy prawdziwego poważania. Feliks Buchner, nauczyciel, członek ZBOWiD. Konstantynów koło Łodzi, ul. Kopernika 30.

Z obrad VI Kongresu

WAŻNE SPRAWY WŁÓKNIARZY

Redakcja „ODGŁOSÓW" zwróciła się do przewodniczącej Zarządu Głównego Zw. Zawodowego Prac. Przem. Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego, posła na Sejm PRL, członka Prezydium CRZZ i delegata na VI Kongres Związków Zawodowych, pani Ireny Sroczyńskiej, z prośbą o rozmowę na temat obrad Kongresu.

PYTANIE: Kongresowe obrady przebiegały w sytuacji dużego napięcia w stosunkach międzynarodowych, które spowodowały i wojna w Wietnamie, i rebelia prawicowej junty wojskowej w Grecji, i wreszcie agresja Izraela na kraje arabskie. Jakim echem odbiło się to w opinii uczestników obrad?

ODPOWIEDŹ: Zarówno delegaci na Kongres, jak i przedstawiciele zagranicznych central związkowych ostro potępili w swych wystąpieniach amerykańską wojnę w Wietnamie, zamach stanu i ograniczenie swobód demokratycznych w Grecji oraz koła rządzące Izraela za napaść na ZRA i inne kraje arabskie. Mówcy wypowiedzieli się za samoistnieniem narodów i pokojowym rozwiązywaniem wszelkich międzynarodowych konfliktów. Było to całkowicie jednolite i zdecydowane stanowisko polskich i zagranicznych związkowców. W konsekwencji uchwalono dwa ważne dokumenty polityczne w skali Europy i świata. Pierwszy — to Apel VI Kongresu Zw. Zawodowych do organizacji związkowych Europy, w którym VI Kongres Polskich Związków Zawodowych, w imieniu ośmiu milionów związkowców oraz wszystkich ludzi pracy naszego kraju, zwraca się z wezwaniem do związkowców Europy o podjęcie wspólnego działania na rzecz zapewnienia pokoju i bezpieczeństwa na kontynencie europejskim. I drugi — Apel VI Kongresu Zw. Zaw. w sprawie przerwania agresji amerykańskiej i ustalenia pokoju w Wietnamie. W tym dokumencie Kongres wyraża m. in. gorące poparcie dla inicjatywy zwołania światowej konferencji przedstawicieli Zw. Zawodowych, organizacji społecznych i zrzeszeń demokratycznych w celu omówienia form pomocy walczącemu narodowi wietnamskiemu oraz wzmożenia działań i wysiłków na rzecz zaprzestania agresji amerykańskiej i przywrócenia pokoju w Wietnamie.

PYTANIE: Jakie zagraniczne centrale związkowe były reprezentowane na Kongresie?

ODPOWIEDŹ: Czechosłowacji, NRD, Związku Radzieckiego, Bułgarii, Węgier, Jugosławii, Wietnamu — Północnego i Południowego, Austrii, Finlandii, Włoch, Francji i Panafrykańskiej Centrali Związkowej. Arabowie, którzy ze zrozumiałych względów nie mogli wziąć udziału w obradach, przesłali uczestnikom Kongresu gorące pozdrowienia.

Pragnę jeszcze raz podkreślić, iż przedstawiciele tych zagranicznych central związkowych uznali jedność działania w walce o pokój za generalną linię działania związków zawodowych w skali światowej.

PYTANIE: Z czym przyszedł na Kongres Związek Włókniarzy?

ODPOWIEDŹ: Przede wszystkim z dwoma ważnymi i już rozwiązanymi problemami, które postulowali włókniarze na Krajowym Zjeździe naszego Związku: podwyżką płac w przemyśle włókienniczym i zniesieniem trzeciej zmiany, na razie w jednym dniu tygodnia — w sobotę.

PYTANIE: Czy możliwe jest całkowite zniesienie pracy kobiet na nocnej zmianie?

ODPOWIEDŹ: Tak. Istnieją realne przesłanki na rozwiązanie i tego problemu. Jest to działanie długofalowe i nastąpi przez stopniowe skracanie czasu pracy.

— Ale powracając do pytania, z czym przyszliśmy na Kongres. Więc obok już wykonanych postulatów, przedłożyliśmy Kongresowi szereg nowych wniosków: dalszego rozwoju opieki lekarskiej i pielęgniarskiej, w szczególności w zakładach włókienniczych ze względu na ich specyfikę. Mam tu na myśli większą ilość zatrudnionych tam kobiet. Dalej, uzyskanie środków na zwiększenie liczby i rozbudowę już istniejących zakładowych przychodni przemysłowej służby zdrowia, które obok lecznictwa, mogłyby również rozwijać szerokie działanie profilaktyczne. Naszym zdaniem, przemysłowa służba zdrowia jest najdogodniejszą formą lecznictwa dla ludzi zatrudnionych w fabrykach. Istnieje pilna potrzeba zwiększenia liczby etatów i wymiaru godzin pracy lekarzy różnych specjalności, tym więcej, że lekarze zakładowi zdobyli sobie duże zaufanie załóg fabrycznych.

Postulowaliśmy też bardziej energiczne działanie dla poprawy warunków pracy w łódzkich fabrykach włókienniczych, więc instalowanie właściwych urządzeń klimatyzacyjnych i wentylacyjnych. Poruszyliśmy sprawę inwestycji w przemyśle włókienniczym i modernizacji zakładów, bowiem uważamy, iż jedno i drugie przebiega w zbyt powolnym tempie. A przecież przeznaczono na ten cel poważne środki finansowe, które nie są wykorzystywane. Z kongresowej trybuny padło oczywiście jeszcze wiele innych dezyderatów, ale nie sposób omówić wszystkie.

Ponadto wiele istotnych spraw poruszyli delegaci naszego związku, biorący aktywny udział w pracach wszystkich dwunastu komisji kongresowych. Zgłoszone przez nich wnioski dotyczyły, między innymi, rozbudowy i udzielenia środków na rozwój obiektów socjalnych, kulturalnych, skrócenia czasu pracy, działalności kulturalno-oświatowej w środowiskach robotniczych, opieki nad młodzieżą pracującą i szeregu innych. Wiele spośród tych spraw znalazło odbicie we wnioskach kongresowych i w projekcie uchwały kongresowej.

PYTANIE: Była Pani przewodniczącą komisji kongresowej do spraw kobiet pracujących. Jakie żywotne sprawy pracującej kobiety wniosła Pani pod obrady Komisji?

ODPOWIEDŹ: Kilka, ale najważniejsze wydają mi się trzy sprawy. Pierwsza — to zwiększenie wpływu związków zawodowych, w skali kraju, na przygotowanie zawodowe kobiet i dziewcząt zgodnie z potrzebami gospodarki narodowej w danym regionie kraju. Sądzę, iż odegra to ważką rolę w perspektywicznym planie ekonomicznego rozwoju kraju, ponieważ w określonym czasie stawia do dyspozycji fachowo przygotowane kadry kobiet tam właśnie, gdzie będą one potrzebne. Druga sprawa — to zaktualizowanie wykazu zawodów, w których — dzięki postępowi techniki oraz mechanizacji — mogą pracować kobiety. Niegdyś, uruchomienie zespołu potężnych mechanizmów wymagało siły mięśni i były to tak zwane męskie zawody. Dziś wystarczy nacisnąć mały guziczek. Dlaczego więc ma go wciąż naciskać silny mężczyzna, a nie słabsza kobieta? I wreszcie trzecia sprawa — konieczność zmiany dotychczasowych przepisów na takie, które by umożliwiły kobiecie nie pracującej zawodowe pobieranie nauki w szkołach ogólnokształcących oraz zawodowych — korespondencyjnych i wieczorowych. Wszak i kobiety obarczone dziećmi, i czasowo nie pracujące, też pragną zdobyć wykształcenie i podjąć pracę, jak tylko pozwolą im na to warunki życiowe.

PYTANIE: Podczas obrad Kongresu szeroko dyskutowano sprawy kultury i oświaty. Jakie postulaty wysunął w tym przedmiocie Związek Włókniarzy?

ODPOWIEDŹ: Istotnie. Zarówno w toku kongresowej dyskusji, jak i podczas obrad w komisji do spraw kultury i oświaty bardzo szeroko omawiano problemy kulturalne i oświatowe. Zarówno wśród delegatów na Kongres, jak i w komisji znajdowali się liczni przedstawiciele środowisk twórczych. Obok wybitnych pisarzy, plastyków, muzyków, ludzi teatru, dziennikarzy i filmowców, zabierali również głos aktywni działacze kulturalno-oświatowi ze szczebla powiatu, gromady, nawet wsi. Tak szeroka konfrontacja poglądów i opinii na sprawy kultury i oświaty była niezwykle ważnym, interesującym i konstruktywnym elementem obrad Kongresu.

Delegaci naszego Związku wysunęli wiele postulatów i wniosków, zmierzających do dalszego rozwoju kultury masowej oraz nowych form pracy oświatowej w środowiskach robotniczych. Większość propozycji spotkała się z uznaniem i została zamieszczona w końcowych wnioskach kongresowych.

Moja odpowiedź na to pytanie jest z pewnością zbyt ogólnikowa. Lecz dozowany czas — że użyję tego określenia — nie pozwala mi na szersze omówienie tych nader ważnych i interesujących spraw. Również sądzę, iż problemy te, którym „Odgłosy" poświęcają zawsze tyle uwagi, i tym razem znajdą osobne miejsce na łamach waszego poczytnego pisma.

PYTANIE: Pani osobiste odczucia z obrad VI Kongresu Związków Zawodowych?

ODPOWIEDŹ: VI Kongres, z uwagi na sam charakter obrad oraz podjęcie szeregu doniosłych uchwał o państwowym i międzynarodowym znaczeniu, przejdzie do historii, jako ważne wydarzenie w działalności polskich związków zawodowych.

Wystąpienie towarzysza Gomułki, wypełnione ogromnym ładunkiem treści politycznych, przyjęli delegaci na Kongres gorącą owacją. Zapowiedź o podwyżce rent i stopniowej realizacji programu korzystnej zmiany systemu rentowego stała się niezmiernie ważnym wydarzeniem dla wszystkich ludzi pracy. Był to jeden z najpilniejszych i najtrudniejszych problemów, z jakimi związkowcy stykali się na co dzień. Zapowiedź tę przyjęto z dużym uznaniem i zadowoleniem. Jak wiadomo, z dniem 1 lipca br. nastąpiła już podwyżka najniższych rent.

Na Kongresie panowała całkowita swoboda wypowiedzi i nieskrępowanej dyskusji. Mówiono szczerze i otwarcie o sprawach wielkich i małych. Niemniej, każdy głos w dyskusji był nacechowany troską o losy Polski, jak również pełnym zrozumieniem, iż wszystko, co rozwija i umacnia potęgę naszego kraju i narodu wiąże się ze sprawą zachowania pokoju na całym świecie. To szerokie spojrzenie na integralny związek problemów Polski, obozu socjalizmu i pokoju wskazuje na dojrzałość polityczną i zasługuje na specjalne podkreślenie.

Rozmawiał:

WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

STEFAN BANASIAK

„LUDZIE WALKI" Lucjana Kieszczyńskiego

W dwudziestą piątą rocznicę powstania Polskiej Partii Robotniczej ukazał się zbiór biografii łódzkich działaczy robotniczych, wydany staraniem Referatu Historii Partii KŁ PZPR. Autorem biografii jest znany badacz dziejów łódzkiej klasy robotniczej — Lucjan Kieszczyński. Tytuł zbioru — „Ludzie walki" — w pełni odpowiada zawartej w nim treści.

Już we wstępie autor podkreśla, że wyłoniły się trudności przy wyborze sylwetek działaczy. Spośród około 70 rozpatrywanych wstępnie postaci w zbiorze zamieszczono biografie 16 działaczy KPP, PPS i PPR. W zbiorze pominięto biografie działaczy, które opublikowane zostały już wcześniej. Dalsza eliminacja nastąpiła w wyniku ograniczenia pracy wyłącznie do osób już nieżyjących. Autor zbioru nie zamierzał więc ukazać wszystkich działaczy według hierarchii ich ważności w łódzkim środowisku robotniczym, lecz przedstawił sylwetki osób, które zasługują na szersze spopularyzowanie. Praca L. Kieszczyńskiego umożliwi więc starszemu pokoleniu przypomnienie walk w minionych dziesięcioleciach, a generacji młodszej zapoznanie się z walką o nowy ustrój społeczno-gospodarczy i polityczny w Polsce.

Przedstawione biografie ukazują czytelnikowi w sposób nader bezpośredni najważniejsze kierunki działania i walki proletariatu łódzkiego, w okresie międzywojennym i podczas okupacji. Oprócz partii politycznych szeroko ukazana została problematyka związków zawodowych. Przedstawiona została także walka polityczna i ideologiczna jaka toczyła się wówczas w środowisku mniejszości narodowych (żydowskiej i niemieckiej).

Oczywiście na podstawie kilkunastu biografii działaczy robotniczych nie można poznać obszernych i bardzo złożonych dziejów ruchu robotniczego. Nie ulega jednak wątpliwości, że prezentowane sylwetki działaczy ułatwiają zrozumienie tego ruchu, gdyż umożliwiają spojrzenie na przeszłość klasy robotniczej poprzez losy konkretnych ludzi, dzięki czemu bliższymi stają się odległe już dzisiaj procesy społeczne oraz zaangażowanie dużych środowisk robotniczych.

Autor pracy skupił główną uwagę na działalności politycznej i społecznej opisywanych postaci. Natomiast ich kłopoty osobiste i rodzinne przeplatają się stosunkowo rzadko i nieregularnie. Być może wynika to z materiałów archiwalnych oraz relacji, jakie autor wykorzystywał przy opracowywaniu tych biografii. Okazuje się przy tym, co zresztą autor w pracy kilkakrotnie zaznaczył, że nie można ustalić już szeregu faktów, w szczególności z okresu okupacji hitlerowskiej. Jednakże nie te trudności były przyczyną zbyt marginesowego potraktowania spraw osobistych i rodzinnych, opisywanych działaczy. Pamiętajmy, że w środowiskach rewolucyjnych sprawy osobiste zawsze były podporządkowane interesowi partii, klasy i społeczeństwa. Stąd też dowiadujemy się na przykład w biografiach, że poszczególni działacze wielokrotnie byli ze względów politycznych wydalani z pracy, której następnie nie mogli uzyskać z tych samych powodów w innych zakładach, ale nie wiemy z czego oni wtedy utrzymywali się. Dopiero na dalszym planie daje się prześledzić, że działalność polityczna wiązała się wówczas częstokroć z pogorszeniem warunków bytowych, a nieraz wręcz z głodowaniem. Utrzymanie rodziny przez znaczne okresy czasu spadało na żony działaczy, które chociaż organizacyjnie mniej zaangażowane w działalności rewolucyjnej, dały jednak w ten sposób trudny do wymierzenia wkład do walki o nowy ustrój społeczny. Ile bohaterstwa znajdujemy u działaczek z okresu okupacji, które zaangażowane w walce z okupantem z niepokojem myślały o możliwości osierocenia swych dzieci, a jednak z walki się nie wycofały.

Działalność polityczna i społeczna wykonywana była na ogół kosztem odpoczynku, w trudnych warunkach materialnych, nic też dziwnego, że nader często działacze zużywali swe siły fizyczne i psychiczne. Większość z nich we wczesnym okresie życia zmarła lub została zamordowana przez oprawców faszystowskich. Przeciętna wieku życia omawianych działaczy wynosi zaledwie około 42 lat. Najmłodszy z nich, Czesław Hutor został zamordowany mając 23 lata.

Autor zbioru ułożył biografie według lat urodzenia, od najmłodszego działacza do najstarszego. Trzeba przyznać, że układ taki w tym wypadku okazał się bardzo trafny, gdyż jest przejrzysty i logiczny. Praca została uzupełniona przypisami, w których autor zawarł wyjaśnienia przeznaczone dla czytelnika nie znającego gruntownie dziejów polskiego ruchu robotniczego.

Praca L. Kieszczyńskiego stanowi poważny wkład do dziejów łódzkiej klasy robotniczej, będąc równocześnie hołdem dla tych, co życie swe poświęcili walce przeciwko uciskowi kapitalistycznemu i okupantom faszystowskim.

Lucjan Kieszczyński: Ludzie walki. Sylwetki łódzkich działaczy robotniczych. Łódź 1967, Wydawnictwo Łódzkie, s. 230.

Nożycami przez PRASĘ

WZORNICTWO A PRAKTYKA

Właściwie to nie słyszy się sprzeciwów: wszyscy są za tym, by plastycy kształtowali nasz smak, jeśli idzie o estetykę przedmiotów codziennego użytku. Oczywiście, pod warunkiem niezaniedbywania funkcjonalności tych przedmiotów. (Fotel czy krzesło przede wszystkim mają służyć wygodzie). Tam jednak gdzie nie ma jawnych sprzeciwów, sytuacja zawsze musi się wydać cokolwiek podejrzana. Janina Jamrógiewicz („Tygodnik Demokratyczny") zastanawia się nad wyboistymi drogami wzornictwa przemysłowego.

Wzornictwo przemysłowe jest objęte w Polsce programem studiów. Akademie sztuk plastycznych w Warszawie, Krakowie, Łodzi, Poznaniu, Wrocławiu i innych miastach mają odpowiednie wydziały wzornictwa przemysłowego w wybranych branżach. Każdy plastyk może obrać tę dziedzinę, jako kierunek studiów, tak jak wybiera rzeźbę, grafikę czy malarstwo. Ukończenie wybranego kierunku nie jest jednak równoznaczne — podobnie jak i na innych uczelniach — ze zdobyciem specjalizacji w zawodzie. Przychodzi ona dopiero w toku pracy w produkcji.

Dysponujemy tedy kadrą, co prawda niedostateczną. Mimo to nie ma ona utartej drogi, pozbawionej przeszkód, a produkcja przemysłowa jakże często w praktyce lekceważy szanse polepszenia estetycznej jakości towarów powszechnego użytku.

Odpowiedzi na pytanie, dlaczego rozwój wzornictwa w wielu branżach nie nadąża u nas za poziomem światowym, należy szukać w nie dość sprężystej organizacji wzornictwa w Polsce.

Nie mówiąc już o niechęci do zmian w procesie technologicznym.

Swoje nadzieje autorka adresuje do Związku Plastyków:

Przypuszczać należy, że tworząca się przy Polskim Związku Plastyków Sekcja Projektowania Przemysłowego będzie dążyła do zaprowadzenia porządku w dziedzinie wzornictwa przemysłowego również na własnym podwórku. Słuszne wnioski plastyków zasługują na wzięcie do serca.

OSKALPOWYWANA ZIEMIA

Elektrociepłownia Żerań wypuściła gorącą wodę i ugotowała tysiące kg ryb, zapewne i jakąś florę. Zatruwanie rzek stało się nagminnym zjawiskiem. Chociaż nie odznaczamy się zbyt wysoką kulturą bycia, żądamy, by wszędzie wolno było rozbijać ośrodki campingowe, niektórych nawet publicystów (m. in. Jana Szelaga) oburzyły w swoim czasie zarządzenia ograniczające swobodę ruchu w lasach. Radia tranzystorowe i megafony niszczą ciszę w parkach i lasach, płoszą ptaki, itd...

Należy pochwalić „Kulturę", iż u progu sezonu turystycznego zamieściła szereg artykułów poświęconych problematyce człowieka w przyrodzie, który nie od dziś częściej bywa wandalem i przysłowiowa macocha niż rozsądnym użytkownikiem. Oddajemy głos Jerzemu Putramentowi:

Uświadomienie sobie przez ludzkość zależności między nią i przyrodą staje się tym pilniejsze, że w ostatnich latach stosunek sił między jedną a drugą zmienia się coraz szybciej nie tyle na korzyść człowieka, co na niekorzyść przyrody. Stare, odziedziczone z epoki maszyny parowej powiedzonko o walce człowieka z przyrodą, podchwycone i powtarzane także i przez zwolenników marksizmu, w tych warunkach staje się usprawiedliwianiem mordu, dokonywanego przez ludzkość na przyrodzie. A że ludzkość jest przecież tej przyrody nieodłączną cząstką, mord taki nosi wszystkie cechy samobójstwa.

I dalej:

To trudno, postępu techniki odwrócić nie sposób, zresztą, nie wolno, bez niej wyżywienie narastającej na ziemi masy ludzkiej byłoby niemożliwe.

Natomiast trzeba uświadomić sobie granicę skuteczności techniki, właśnie jej ograniczoność. Zrozumieć, że biologia w wielu wypadkach podpowiada rozwiązania bardziej skuteczne i nieobciążone tym niezbadanym, więc groźnym działaniem wtórnym.

Przy okazji warto wyrazić zdziwienie, że niedostatecznie spopularyzowano żywą i zajmującą książkę Antoniny Lenkowej „Oskalpowana ziemia" (Kraków 1961). Przecież byłaby to wymarzona i jakże pożyteczna pozycja w ramach zasłużonej „Biblioteki Powszechnej".

A poza tym: trzeba ściślej egzekwować istniejące zarządzenia. Trzeba je także uzupełniać. Nie wstydźmy się uczyć kultury bycia i takim sposobem. Nie do wszystkich przemawia dyskusja i perswazja!

CIERPKA UWAGA

Pochodzi z rubryczki „Coś z życia". (Ma się rozumieć, że z „Polityki").

Regulamin „Lotu" odwzorowujący przepisy Międzynarodowej Organizacji Lotnw Powietrzych głosi m. in.: „Nie wolno nikomu wysiadać ani usiłować wejść do samolotu znajdującego się w powietrzu". Jest to jedyny przepis, przeciwko któremu nie wykroczył dotychczas żaden Polak.

I uzupełnienie z „Tygodnika Demokratycznego":

Od dłuższego już czasu — jako stały mieszkaniec stolicy — z niepokojem obserwuję zadziwiającą ekwilibrystykę kierowców pojazdów mechanicznych. Oto w miejscach przejść przez jezdnię, oznaczonych nie tylko białymi pasami, ale również światłami zmontowanymi na narożnikach ulic, kierowcy mają zwyczaj zatrzymywania swych pojazdów dopiero na samej granicy białego pasa.

Gdybyż tylko tak! Jakże często wjeżdżają na wyznaczone przejścia tarasując drogę spłoszonym pieszym. Jako codzienny przechodzień z ul. Piotrkowskiej muszę stwierdzić, iż nie widziałem przypadku, by regulujący ruch milicjant skarcił za to kierowcę lub przynajmniej kazał mu, dla porządku, cofnąć się! Zdaje się, że więcej mamy sentymentu dla pojazdów niż dla pieszych, aczkolwiek oni są większością.

JAN OLECHNO

ROMAN GORZELSKI

Mister Jazz — Mal Waldron

Malcolm Waldron, jeden z najwybitniejszych amerykańskich pianistów jazzowych, najprawdopodobniej upodobał sobie nasz kraj i naszą publiczność, bo chyba niczym więcej nie można wytłumaczyć jego dwutygodniowego wojażu po Polsce. Ten czarnoskóry muzyk bardzo poważ nie traktuje swoją sztukę i chętnie dzieli się nią z ludźmi. Kiedy patrzę na niego jak gra z towarzyszącą mu sekcją rytmiczną (Giovanni Tomasi — kontrabas, Pepito Pignatelli — perkusja), mam wrażenie, że widzę kapłana celebrującego nabożeństwo, i nawet częste oklaski po każdej solówce nie są w stanie wywołać na jego twarzy uśmiechu czy nawet grymasu zadowolenia. Mal Waldron (urodził się w Nowym Jorku, tam też ukończył konserwatorium i zaczął nagrywać pierwsze płyty, których teraz ma ponad dwieście) siada przy stoliku obok mnie. Wyciąga z kieszeni wielką białą chustkę i wyciera spoconą twarz. Uśmiecha się.

— Grałem w wielu krajach — mówi — ale tak dobrej publiczności jak w Polsce nie ma nigdzie. The best audience I find it in Poland — powtarza.

— A co Pan sądzi o polskich muzykach jazzowych?

— Po raz pierwszy zetknąłem się z nimi w ubiegłym roku podczas „Jazz Jamboree 66" w Warszawie. O Polakach, którzy mają w świecie opinię ludzi bardzo muzykalnych, słyszałem też, że nieźle grają jazz, ale dopiero w zeszłym roku mogłem się przekonać jak jest naprawdę: gra ja doskonale, z wyczuciem swingu, tak istotnym przecież dla tego gatunku muzyki. Mają też znakomitą publiczność, a to bardzo pomaga.

— Czy nie wydaje się Panu, że współczesna muzyka rozrywkowa w jakimś stopniu zagraża popularności jazzu?

— Modern jazz, wbrew pozorom, nie jest muzyką trudną. Jest to muzyka bardziej ambitna, wymagająca od słuchacza większej kultury, no i oczywiście, przygotowania i dojrzałości. Nie może być mowy o tym, by jeden rodzaj muzyki zagrażał innemu rodzajowi. Rock and roll, big-beat — to przeważnie rytmy nastolatków, którzy do piero po dwudziestce zainteresują się jazzem i staną się jego miłośnikami, i tak jak w muzyce symfonicznej, zaczną w nim znajdować wartości intelektualne.

— Czy ma Pan swoich ulubionych wykonawców?

— Naturalnie. Znałem osobiście wielu muzyków. M. in. grałem z takimi sławami jazzu jak Billie Holiday (występowałem z nią prawie trzy lata, aż do momentu jej tragicznej śmierci), John Coltrain, Jackie McLean, Charlie Mangus, Max Roach, Kansas Fields, Lucky Thompson, Gigi Gryce, Lucky Millinder, ale uważam, że najwybitniejszymi są: Billie Holiday, Thelonius Monk oraz Duke Ellington — najbardziej reprezentatywny muzyk jazzowy, który rozwija się wraz z naszą epoką. Bo np. Luis Armstrong to już tylko lata trzydzieste...

— Pański występ dla muzycznej Łodzi był naprawdę dużym wydarzeniem...

— I dla mnie również. Moje pierwsze spotkanie z Łodzią wypadło nadzwyczaj przyjemnie. Mam nadzieję, że jeszcze nie raz będę miał okazję grać w waszym mieście. Mam do pana jedną prośbę: proszę pozdrowić ode mnie wszystkich czytelników „Odgłosów" oraz podziękować moim słuchaczom za niezwykle ciepłe przyjęcie mojej muzyki...

Saga rodu Kabzów

Dalszy ciąg ze str. 1

W starciu z policją, która szarżowała na tłum, instrumenty roztrzaskały się, chłopi młócili nimi jak cepami, aż struny jęczały. Po tej walce Wiesława Kabzę zamknięto w carskiej kozie.

Ojciec doktora, Lucjan, nauczył się grać w dobrońskiej orkiestrze, ale szlify artystyczne zdobył dopiero w wojsku. Kiedy zrzucił mundur żołnierski zaczął występować w kapeli jako kontrabasista. Czwórce swoich dzieci zaszczepił umiłowanie muzyki. Najstarszy syn, Edward, grał na klarnecie „B". Najmłodszy, Andrzej wyuczył się gry na trąbce i na kontrabasie w kapeli. Nie przepuścił i Władysławowi, chociaż kierował go na lekarza. Daniela, córka, także przeszła muzyczne wtajemniczenie. Senior Lucjan, dumny jest z tej edukacji swoich dzieci, choć tego nie okazuje.

Doktor Kabza po dziadku, Wiesławie, przejął talenty organizatorskie. Kiedy skończyła się druga wojna światowa, wyprawił się do wsi Markówka, żeby zabezpieczyć instrumenty muzyczne porzucone przez uciekających Niemców. I już w marcu 1945 roku zaczęły się odbywać pierwsze próby orkiestry. Ludzie przykładali się, 1 maja odbył się pierwszy publiczny koncert.

Odbudowana z takim trudem orkiestra, od swego zarania zagrożona była w egzystencji. Kiedy wojska frontowe pędziły na Berlin, żołnierze skądś zwiedzieli się o instrumentacyjnym bogactwie wioski Dobroń. I koniecznie chcieli uzupełnić tutaj muzyczny sprzęt. Szczególnie naprzykrzał się pewien bębnista, który upatrzył sobie w Dobroniu nowe czynele. Ale chłopi przechytrzyli żołnierzy. Morze bimbru polało się tego dnia we wsi.

Pierwsze lata powojenne nie były zresztą łatwe. Było to muzykowanie wciąż tylko wioskowe, orkiestra nie mogła znaleźć mecenasa. Zmieniło się to, kiedy doktor Kabza wrócił do Dobronia po studiach w Łodzi. Mecenasa nie szukał daleko, wybrał się do miejscowej spółdzielni. Aby dobrze usposobić prezesa wziął ze sobą dwa litry wódki. Kiedy panowie z zarządu spełnili już kilka toastów za muzyczny rozwój Dobronia, spółdzielczy mecenat nad orkiestrą został postanowiony. Było jednak wiele spraw dodatkowych do załatwienia. Kabzie marzył się chór podobny do tego, jaki istniał w Dobroniu jeszcze przed wojną, chór świecki, bo kościelny egzystował bez wstrząsów. Młody lekarz potrafił przekonać do tej idei pana Rogusa z Powiatowej Rady Narodowej w Łasku. Była to jednak zrazu tylko deklaracja, ale Kabza nie czekał na załatwienie wszystkich formalności. Odezwała się w nim krew dziada Wiesława. Po trzech miesiącach działalności chóru sprowadził z Łodzi pana Stanisławskiego, który podjął się instruktażu. Początkowo Kabza opłacał go z własnej kieszeni. A potem Powiatowa Rada sypnęła dotacjami i doktor mógł odebrać swój grosz, który wyłożył na chór. Nie był to grosz zmarnowany. Na eliminacjach wojewódzkich w Piotrkowie chór zajął nieoczekiwanie, ale całkowicie zasłużenie pierwsze miejsce.

Ten sukces zaostrzył jeszcze apetyty, chór i orkiestra zaczęły się rozrastać, masowo zgłaszali się chętni.

— Potem — wspomina doktor — pojechaliśmy do Krosna Odrzańskiego. Z chórem, z przyśpiewkami. I na miejscu stwierdziliśmy nagle, że czegoś nam brak. Wie pan czego? Zespołu tanecznego.

Był rok 1958. Werbunek do zespołu tanecznego odbywał się bardzo powoli. Co innego tańce na zabawie wiejskiej, a co innego w zespole pod kierunkiem choreografa. I wtedy przypomniano sobie o dobrońskich sportowcach. Choreograf nie miał już kłopotów.

— Tylko ja — uśmiecha się Kabza — musiałem się martwić o stronę finansową. Ale kredyt u władz mieliśmy już otwarty. Na jesieni istnienie zespołu stało się faktem.

Tylko wciąż wyłaniały się nowe przeszkody. Przede wszystkim natury lokalowej. Jedynym miejscem, gdzie mogło się na raz zbierać tyle ludzi, jest w Dobroniu sala parafialna. Nieoczekiwanie proboszcz postanowił przekształcić ją w kaplicę. Nie mógł się pogodzić z tym, że tam, gdzie nauczał religii, wieczorem odbywają się próby zespołów i pod lokalowym mecenatem parafii młodzi uczą się rubasznych ludowych śpiewek i krzeszą hołubce. Któregoś ranka ksiądz wstawił do sali parafialnej ołtarz, wieczorna próba zespołów nie mogła się odbyć. Ale ten dodatkowy ołtarz nie spodobał się we wsi, chociaż ludzie są tu religijni. Więcej miał ten postępek proboszcza wspólnego z ludzką złośliwością niż ze sprawami Pana Boga. Chłopi zaczęli zbierać podpisy, wybrali się z petycją do kurii. Znaleźli zrozumienie u biskupa. Ołtarz w sali parafialnej nie został nigdy poświęcony. Musiał dać proboszcz polecenie, aby go cichaczem stamtąd wyniesiono na poprzednie miejsce. Od tej pory nie wtrącał się do spraw zespołu. A jego następca, nowy proboszcz, sympatyzuje nawet z artystycznymi poczynaniami dobrońskich owieczek.

A wieś jest rzeczywiście rozśpiewana i roztańczona. Od maluchów, którzy ledwie telepią się na słabych nóżkach, po siwych starców. Dzieci mają nawet swój własny samorząd, aby nie zabrakło kiedyś zdolnych organizatorów.

Zespół ma teraz zresztą wielu możnych mecenasów daleko poza granicami wioski. Najpoważniejszym z nich jest spółdzielnia „Pasmo" w Gucinie. Najpoważniejszym, ale nie jedynym, gdyż dobrońska trupa artystyczna nie od parady przecież nazywa się Międzyspółdzielczym Zespołem Powiatu Łaskiego. Po sukcesach na przeglądzie CRZZ, po udanym występie w Filharmonii Narodowej, po sukcesach zagranicznych wreszcie, bo zespół jeździł do Czechosłowacji, Centralny Związek Spółdzielczości Pracy chciał nawet dać 3 miliony złotych na pobudowanie w Dobroniu Domu Kultury. Ale inicjatywa ta spaliła na panewce, bo forsa to nie wszystko, potrzebne są jeszcze tak zwane limity, a limitu na tę budowę nie mógł sobie Dobroń jakoś wywalczyć w województwie. Choć władze wojewódzkie cenią sobie zespół, czego najlepszym dowodem nagroda Prezydium WRN.

Ale ludzie z Dobronia nie dają się tak łatwo spławić. Wymyślili sobie, że jeśli nie mogą wybudować Domu Kultury, zdobędą się chociaż na świetlicę. I przy wznoszonej właśnie tysiąclatce powstaje całe świetlicowe zaplecze, Centralny Związek Spółdzielczości Pracy dał dotację 600 tys. złotych.

— I to wam wystarczy? — pytam podchwytliwie doktora.

— Jakby to powiedzieć... — uśmiecha się Kabza.

Zaczyna opowiadać o dwóch czynnych w Dobroniu klubo-kawiarniach, jednej pod wezwaniem „Ruchu", drugiej pod wezwaniem Geesu. Dwie kawiarnie w jednej wsi, to się kiedyś wszystkim wydawało śmieszne. Teraz najzagorzalsi ich przeciwnicy są innego zdania. To kawowo-klubowe powodzenie Dobronia da się wytłumaczyć z jednej strony wysoką kultura tej wsi, z drugiej talentami kierowników placówek. Na ogół przecież w województwie i kraju pracują w klubo-kawiarniach sprzedawczynie z bożej łaski.

— Już pan rozumie? — pyta doktor Kabza, ale ja czekam na dalsze wyjaśnienia. — Chcielibyśmy po prostu — ciągnie więc — eksperymentalnie otworzyć w Dobroniu dwie klasy specjalnej szkoły dla sprzedawczyń w klubo-kawiarniach. Takiej szkoły jeszcze nie ma w Polsce, bylibyśmy pierwsi. Ale taka szkoła jest potrzebna, aby placówki „Ruchu" mogły prawidłowo funkcjonować.

Doktor zrzuca z siebie to zwierzenie jak jakiś ciężar. Patrzy nieufnie, jak też ocenię te projekty. Uśmiecham się, ale z zadowolenia. Rzadko kiedy dziennikarz otrzymuje w prezencie od swoich rozmówców tak jas

Dalszy ciąg ze str. 1

40 stopni, więc dyskusja początkowo kulała. A kiedy zaczęła się ożywiać, to przyszedł pan prezes Sokorski, w którym drzemie jeszcze coś z dziennikarza i sprawę załagodził. Powiedział, bo jest przednim i doświadczonym mówcą, że dobrym prawem dziennikarzy jest wymagać, a dobrym prawem komisji artystycznej jest się mylić, bo wszyscy jesteśmy tylko ludzmi. Powiedział też, że festiwale były różne, każdy inny, jedne lepsze, drugie gorsze, a ten był jubileuszowy, normalny. Sformułowanie to było o tyle trafne, że pozwoliło każdemu, nawet pod władnym prezesa, pozostać przy swoim własnym zdaniu.

AGITATO

A właściwie o co chodziło? Chodziło o to, że komisja, reprezentowana przez świetnych fachowców od piosenki, od muzyki i tekstu popełniła szereg nie dających się usprawiedliwić błędów, dopuszczając do konkursu pozycje poniżej średniej przeciętnej, poniżej dopuszczalnego poziomu artystycznego, eliminując jednocześnie utwory wartościowe. Dla przykładu i ku rozweseleniu:

Na frustracje
alienacje,
na depresje
i obsesje
na konflikty
i relikty
złe refleksy
i kompleksy: €
rurkę z kremem,
rurkę z kremem,
rurkę z kremem kup.
Rurkę z kremem
rurkę z kremem
rurkę z kremem schrup.
Bo to dobry lek
na dwudziesty wiek.
Rurkę z kremem kup,
miłej złóż u stóp.
Czule szepnij,
czule szepnij,
czule szepnij jej:
„Miła — ugryźć,
miła — ugryźć
miła — ugryźć chciej!".
Rurkę z kremem kup.
Rurkę z kremem schrup.
I zlizując krem
ciesz się każdym dniem (...)

albo na przykład:

Im w życiu więcej raf,
tym więcej strzelam gaf.
Kamyczku ty mnie zbaw,
ja proszę.
Nie piję czarnych kaw,
nie puszę się jak paw,
a sławę wielkich spraw
mam w nosie.

Ale od szkolnych ław
miast bawić się w pif-paf,
wtrącałam się do wrzaw
nie swoich (...)

Mam pod ręką jeszcze piękniejsze teksty, ale bardzo długie, więc nie zacytuję. A najśmieszniejsze, że „Gaffy" wyszły spod pióra Agnieszki Osieckiej. Autorka chyba zażartowała sobie z komisji artystycznej. Bo na estradzie ten utwór wykonany został całkiem na serio.

I oto kolejne nieporozumienie artystyczne. Wyłoże je na przykładzie łódzkiego wykonawcy Krzysztofa Cwynara, który wykonał dwie słabe pozycje. Na dwa tygodnie przed Festiwalem Cwynar został zaproszony do uczestnictwa przy czym zaproponowano mu dwie piosenki, obydwie niedobre, obydwie nie dostosowane do jego warunków głosowych. Cwynar proponował inne utwory, komisja je odrzuciła. Przewodniczący komisji artystycznej pan Edward Fiszer wyjaśnił, że „Ballada o paproci" ma wprawdzie słabą muzykę, ale przyjęta została ze względu na piękny poetycki tekst. Prezentuję:

Kiedy się z tęsknoty
na popiół wypalę,
wiatr popiół rozsieje
gdzieś w najdalsze dale.
Może pod las jakiś
zaniesie, zarzuci
i nikt się nie zdziwi
i nikt nie zasmuci.
Nikt się nie zadziwi
że — był i go nie ma.
Wilgotna od rosy
przytuli mnie ziemia (...)

W ten sposób Cwynar, muzyk z zawodu, kompozytor muzyki do wielu swych piosenek, mógł albo śpiewać „toto", albo nie wystąpić w Opolu. Na przyszłość zapewne wybierze to drugie.

Do Opola bierze się co dają, nie ma żadnych grymasów. Dobre piosenki daje się złym piosenkarzom, złe piosenki daje się dobrym. W ten sposób zostaje zachowana równowaga w przyrodzie, zachwiana natomiast równowaga dobrych piosenkarzy i dobrych wykonawców.

MOLTO ALLEGRO

Grymasy gwiazd pierwszej wielkości trzeba jednak uwzględniać. Więc żeby sprawiedliwości dziejowej stało się zadość, gwiazdy pierwszej wielkości wraz z piosenkami pierwszej wielkości zostały sprowadzone w podziemia. Piosenka kabaretowa, reprezentująca wartości literackie, wykonywana była poza amfiteatrem, w godzinach nocnych. W sali kina „Kraków" (600 miejsc) i w sali Szkoły Muzycznej (jeszcze mniej miejsc). Konkurencja z 6-tysięcznym amfiteatrem żadna. Ale nawet ci, co mieli okazję słuchać, percepcję mieli już przytępioną po dwóch koncertach: popołudniowym i wieczornym. A w kabarecie śpiewali: Wojciech Młynarski i Tadeusz Chyła, Wojciech Siemion i wschodząca gwiazda kabaretowa Kazimierz Grześkowiak i wielu innych oraz pani Alina Janowska, która chociaż wyszła na estradę z kartką, ale i tak jej to nie pomogło, bo widocznie muzyki też nie pamiętała. Więc ruszyła ramionami i zeszła z estrady. Do repertuaru maratonu kabaretowego można odnieść też te same uwagi i o doborze pozycji i ich obsadzeniu, ale to już będzie nudne. I nie przysłoni faktu, że mamy wielkiej klasy wykonawców, a większości z nich w zdobyciu sławy walnie pomogło Opole. Tegoroczny festi

no wyrażone postulaty publicystyczne. Nic dodać, nic ująć. Podoba mi się ten projekt.

Potem oglądamy zdjęcia, te zdjęcia, które nie weszły do ilustrowanej, spisanej kroniki zespołu. Album z kroniką pożyczył przewodniczący Powiatowej Rady, będzie mu zdaje się, pomocny w rozmowach z władzami wojewódzkimi i może w oparciu o tę podkładkę wytarguje coś jeszcze dla zespołu. Bo zespół jest nie ubrany.

Zaczęto co prawda skup regionalnych strojów, 1000 złotych za wełniak, zebrała się specjalna komisja z rady gromadzkiej, ale było za mało strojów i za mało pieniędzy. W popularniejsze stroje sieradzkie można by ubrać cały zespół. Jeśli nie uda się tego załatwić od razu, załatwią to na pewno na „Siemieńcu", z którego Dobroń słynie tak samo jak z muzykowania.

Siemieniec to tradycyjna zabawa zapustowa z kaszanką i bigosem. Przepisy obrzędowe wymagają, aby kaszankę podawać na przetakach, ale dziś łatwiej jest o półmiski. Zabawie towarzyszą przyśpiewki ze specjalnie napisanymi, interwencyjnymi tekstami. Vox populi. Dzięki „Siemieńcowi" ujrzała światło dzienne sprawa szkoły. Nie mogło być zresztą inaczej. Pierwszego gawędziarza, nauczyciela ludowego, Sadłowskiego, który już nie żyje, zastąpił teraz wesoło autobusowy Kaźmierczak, który ma cięty język. A kiedy nie pomaga krytyka ustna, można sięgnąć po tłumaczenie ręczne. W takt muzyki przez salę przeciąga wąż zapustowy, wodzirej wymachuje pasem. Potem każdy każdego stara się dosięgnąć. I biada oficjelowi, który nie dotrzymał słowa. Taką dostanie zagrzewkę, że sprawy Dobronia nigdy się już nie wyrzeknie. Od lat bez obaw przyjeżdża do wsi na „Siemieniec" kierownik Wydziału Kultury Wojewódzkiej Rady, Urbański. Ale znają go tu jako sympatyka zespołu. Zresztą miejscowi potrafią złoić skórę także z życzliwości. Doświadczył tego radiowiec Borowik.

Zespół Pieśni i Tańca oddziałuje na całą wieś, jest zresztą tym co spaja wiejską społeczność, co zbliża Dobroń także z okolicznymi osadami. Garną się ludzie i z dalszej okolicy. Członkiem zespołu jest architekt powiatowy inż. Sysio, wspomaga zespół dobrymi pomysłami Urszula Sysio, studentka konserwatorium. Pół zespołu to zresztą rodzina dalsza i bliższa i może dlatego tak łatwo tu pracować z ludźmi. Nawet prezes GS Lucjan Prusisz pracuje w zespole jako kierownik samorządu.

Zespół ma wytrawnych instruktorów. Kaźmierczak udziela się jako instruktor muzyczny w Zespole Pieśni i Tańca, za choreografię odpowiedzialna jest Irena Kik z „Harnama", orkiestrę dętą prowadzi dyrygent orkiestry garnizonowej w Łodzi Matuszyński.

Kabza opowiada jak rozwiązywali sprawy repertuarowe.

— Jeździło się po dziadkach, babkach, z magnetofonem. Czasem trzeba było wyciągnąć flaszkę wódki i wtedy ludziom mijała trema. Przypominali sobie gadki i śpiewki. W ten sposób mogliśmy ułożyć widowisko „Na sieradzką nutę" w formie zabawy w karczmie.

Kabza uśmiecha się na wspomnienie tych wojaży.

— Jak taki dziadunio wypił, to się i rozśpiewał. A babcie pokazywały jak w takt takich śpiewek tańczono.

Repertuar chóru jest także bardzo ambitny. Śpiewał ten chór „Janicku" Nowowiejskiego, śpiewał pieśni Wacława z Szamotuł.

Zespół wytworzył sobie własne normy obyczajowe. Kiedy ktoś występuje z chóru czy orkiestry — musi znaleźć na swoje miejsce następcę. Nigdy zresztą nie jest to całkowite zerwanie kontaktów. Zespół występuje na uroczystościach rodzinnych swoich członków, na weselach, chrzcinach i pogrzebach.

— Tak — mówi z zamyśleniem doktor Kabza. — Staramy się o to, aby dobre tradycje nie zginęły. Stawiamy także na młodzież.

Pokazuje z uśmiechem na wersalkę, gdzie rozsiadła się para dzieci, Waldek i Dobrosława. Także Kabzowie.

Malec ma dziesięć lat, występuje w zespole tanecznym. Dwunastoletnia dziewczynka śpiewa. Na tych dzieciach możemy na razie zakończyć Sagę Rodu Kabzów. Zespół artystyczny w Dobroniu jest jej integralna częścią.

KONRAD FREJDLICH

EWA SIEMIŃSKA

Dla kogo cokół?

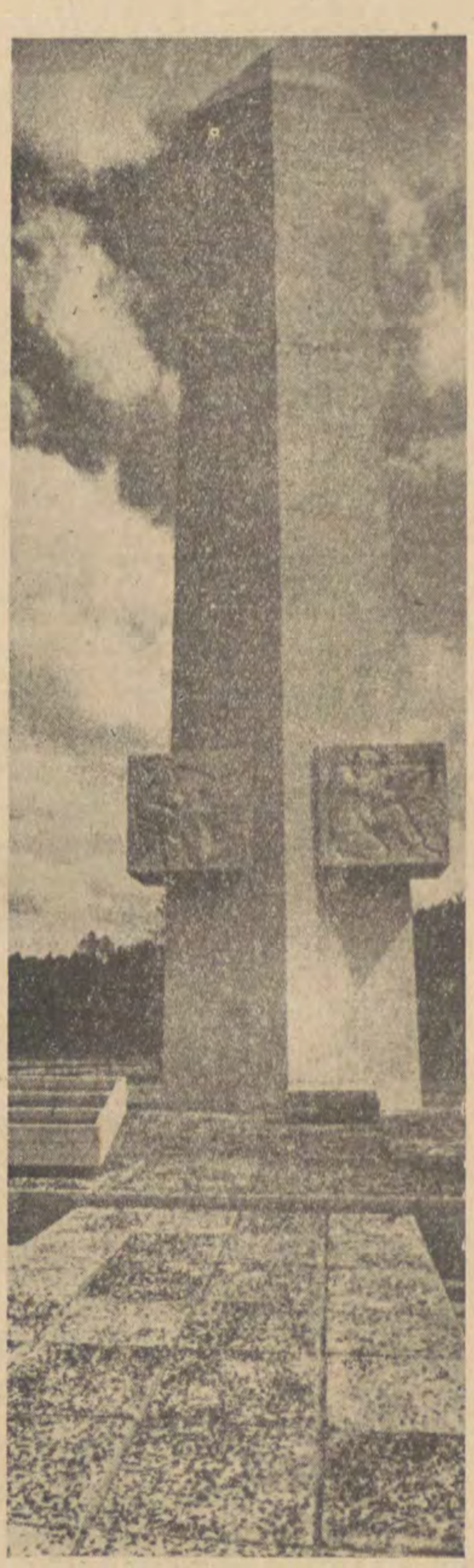

Prawdziwym geniuszom nie są potrzebne miejsca na cokołach. Najlepszym „pomnikiem" jest dla nich to, co zostawili po sobie: ich wkład do dziedzictwa kulturalnego. Mają prawo powiedzieć o sobie jak Puszkin, że wznieśli pomnik nie będący dziełem rąk ludzkich.

Pomniki potrzebne są nam, żyjącym. Jako wyraz pamięci o naszych wielkich, jako symbol trwałych wartości nagromadzonych przez wieki w narodowej kulturze. Dlatego choć pomniki są świadectwem wystawianym przeszłości, określają w głównej mierze nie ją, lecz tych, którzy je stawiają. **Stanowią wyraz stosunku społeczeństwa do narodowej tradycji.** Są aktem świadomości społecznej i narodowej. Dlatego okupant, chcąc zniszczyć kulturę zwyciężonego narodu, burzy także wzniesione przezeń pomniki. Dlatego podczas rewolucji nienawiść tłumów zwraca się i przeciw pomnikom reprezentującym obalany ład społeczny oraz ukształtowaną w nim kulturę.

Jakie świadectwo wystawiają nam — społeczeństwu rozwijającemu się przez dwadzieścia dwa powojenne lata, wzniesione przez nas pomniki? Przede wszystkim mówią o ranach, które przez długi czas nie mogły się zabliźnić w polskiej świadomości narodowej. Nasz kraj usiany jest pomnikami, obeliskami, pamiątkowymi głazami i tablicami, które mówią o martyrologii Polski w czasie minionej wojny. „Dla uczczenia poległych w walce z okupantem...", „Ofiarom terroru hitlerowskiego...", „Męczennikom...", „Bohaterom..." — te słowa niezmiennie pojawiają się w napisach. I drugi typ pomników — świadectwo naszej orientacji politycznej i braterstwa broni: dla uczczenia poległych w walce na terenie Polski żołnierzy radzieckich oraz — symbolizujących przyjaźń polsko-radziecką.

Masowe powstawanie obu typów pomników w pierwszym, powojennym okresie było zjawiskiem naturalnym i zrozumiałym. Wojna zamieniła Polskę w jeden wielki cmentarz. Pamięć o zmarłych, złożenie hołdu tym, którzy walczyli, było koniecznością dla tych, którzy zdołali przeżyć. Ówczesnej teraźniejszości towarzyszyła świadomość, że nie jesteśmy sami, że możemy liczyć na pomoc i poparcie.

Z tej właśnie świadomości zrodził się drugi typ pomników. Dopiero kiedy nastąpił okres stabilizacji, a czas pozwolił otrząsnąć się z ciężkich wojennych przeżyć, świadomość narodowa utrwalona w bryłach pomników zwróciła się także ku sprawom kultury. Gdyby jednak o dorobku kulturalnym Polski zechciał ktoś sądzić na podstawie pomników, skąpy by wtedy wytworzył sobie jej obraz. Bo chociaż kraj nasz usiany jest pomnikami, panuje tu niepodzielnie szablon. Mickiewicz, Chopin, Kopernik — oni to prawie wyłącznie reprezentują z cokołów polską kulturę. Brak fantazji w narodzie, czy drętwa stereotypowość w postępowaniu inwestorów?

Pomnikowe świadectwo najgorszą w kraju ocenę wystawia — niestety — Łodzi. Jesteśmy miastem trzech w gruncie rzeczy pomników. Kościuszki, Marchlewskiego i Mauzoleum Martyrologii w Radogoszczu. Skąpe, nie pozorne i brzydkie popiersia Tuwima i Moniuszki urągają tylko polskiemu entuzjazmowi, jakim otacza się wybranych patronów kulturalnych. A w województwie — jeszcze gorzej. Ani jednego pomnika związanego z tradycją kulturową. Dlaczego? Przecież na mapie polskiej kultury Łódzkie nie rysuje się białą plamą! Tym smutniejszy jest więc fakt, że inicjatywa wzniesienia w Łodzi pomnika Reymonta zakończyła się niepowodzeniem. Tłumaczy się nam, że inwestycja za droga, że trzeba by kilku, może nawet dziesięciu milionów. Czy naprawdę? Aby odpowiedzieć na to pytanie, postanowiliśmy rozejrzeć się nieco po Polsce.

Cudowna warszawska Nike, jak gdyby zrywająca się do gniewnego lotu bije rekordy inwestycyjne: 10 milionów zł. Ale **Maria Konopnicka z Saskiego Ogrodu kosztowała już tylko 500.000 zł.** Poznaniacy wyłożyli na swego Mickiewicza 2.346.000 zł, ale na przykład **Sienkiewicz kosztował bydgoszczan tylko 400.000 zł. Nawet białostockie Suwałki potrafiły wydać na pomnik Konopnickiej 250.000 zł.** Włocławek za popiersie Żeromskiego zapłacił 100.000 zł, Malbork za pomnik Sienkiewicza — 56.000, Proszowice (woj. krakowskie) za Kościuszkę — 270.000, **Wadowice (woj. krakowskie) za Zegadłowicza — 100.000, Hrubieszów (woj. lubelskie) za Brusa — 250.000, Lublin za Curie-Skłodowską — ponad 1 milion, Kalisz za Asnyka — 60.000, Piła za Staszica 160.000, Sochaczew (woj. warszawskie) za Żeromskiego — 16.000, a Gorzów (woj. zielonogórskie) za Mickiewicza — 400.000.** Skąd bierze się owa szalona rozpiętość w „cenach" pomników: od kilkudziesięciu czy nawet kilkunastu tysięcy złotych do 10 milionów? Tajemnica tkwi w **czynie społecznym.** Dlatego wartości pomnika nie można mierzyć funduszami inwestora. To właśnie czyn społeczny pozwolił ograniczyć koszt wzniesienia niektórych pomników nawet do 10.000 zł (Kopernik w Bydgoszczy i Chopin w Brodnicy — woj. bydgoskie).

Nie od milionów inwestora zależy akt wzniesienia pomnika. To przede wszystkim sprawa dobrej woli społeczeństwa oraz poparcia przez odpowiednie instancje, które zapewniłyby sprawną organizację i przebieg akcji. Skoro zrodziła się w Łodzi inicjatywa budowy pomnika Reymonta, to chyba dobrej woli nie brak naszemu społeczeństwu. **Zapytajmy więc władze miasta: dlaczego Złotoryja (tak!!!) może wznosić pomnik Reymonta,** a nasze miasto nie potrafi się na to zdobyć? Dlaczego karmi się nas **mitem** o kilku milionach złotych, paraliżując społeczną inicjatywę? Dlaczego skazuje się **Łódź** na posądzenie o brak pietyzmu dla polskiej tradycji kulturowej?

DROGI CZYTELNIKU! Redakcja prosi Cię o wyrażenie opinii o „ODGŁOSACH". W naszej ankiecie zaznacz znakiem plus (+) działy, które Cię interesują i które uważasz za dobrze redagowane. Znakiem minus (—) zaznacz te działy, które oceniasz negatywnie.

Prosimy Cię również o inne uwagi o naszym piśmie.

Każda nadesłana ankieta weźmie udział w comiesięcznym losowaniu cennych nagród książkowych, a redakcji pomoże w lepszym zrozumieniu potrzeb czytelniczych Łodzi i regionu łódzkiego.

Wypełnione ankiety prosimy nadsyłać do redakcji „Odgłosów", na adres: Łódź, ul. Piotrkowska 96.

	+	—
rozmowy i wywiady		
sprawy międzynarodowe		
zagadnienia ekonomiczne		
problemy obyczajowe		
reportaże		
opowiadania i fragmenty powieści		
poezja		
recenzje książkowe i teatralne		
film i TV		
felietony		

O czym jeszcze chciałbyś czytać w „Odgłosach"?

Nazwisko i imię : : : :
: : : : : : : : : : : : :
wiek : : : : : : : : : :
zawód : : : : : : : : :
adres : : : : : : : : :

wał powinien odbywać się pod wezwaniem Wojciecha Młynarskiego (trzy nagrody w jednym konkursie!). Ten autor i wykonawca tekstów coraz znakomitszych i coraz znakomiciej interpretowanych, jest w naszym piosenkarstwie zjawiskiem niepowtarzalnym tak samo jak zjawiskiem niepowtarzalnym jest Ewa Demarczyk. Jej pozakonkursowy recital był prawdziwym przeżyciem. Czego ona nie śpiewa i jak ona nie śpiewa! Tuwima, Leśmiana i Galla Anonima, a z głosu swego uczyniła cudowny instrument, na którym gra jak się nikomu przedtem nie śniło. Mamy kapitalnego Tadeusza Chyłę, mamy grupę piosenkarzy-artystów jak Kalina Jędrusik, Joanna Rawik, Anna German i inni, których pojawienie się na estradzie gwarantuje zawsze określony poziom.

A na drugim biegunie masę debiutujących, początkujących piosenkarzy, z których może coś być, a może nie być. Paru z nich zabłyśnie kiedyś szlachetnym blaskiem, reszta odpadnie, lub będzie chałturzyć w autokarowych objazdach z dzikimi zespołami. W naszym piosenkarstwie wytrzymują tylko silni, ambitni i mądrzy, którzy wiedzą, że trzeba się uczyć. Bo są zdani na własne siły i własny rozsądek. Od piosenkarza nikt u nas nie wymaga rozwijania umiejętności, szkolenia głosu, dobierania ambitnego repertuaru. Popyt stwarza korzystne warunki dla taniego chałturzenia, niszczenia głosu i talentu. A przecież chodzi tylko o to, by przy każdej Estradzie zatrudniającej piosenkarzy byli korepetytorzy wokalistyki, dykcji, reżyserii estradowej. Opłacani przez wykonawców. I to powinien być warunek sine qua non zatrudniania przez przedsiębiorstwa rozrywkowe.

MODERATO CANTABILE

To, jaki był w końcu ten Festiwal? To zależy. Jeśli się oglądało wszystko to, co się działo w amfiteatrze, w kabarecie, na recitalach, to ogólne wrażenia były optymistyczne. Jeśli się obejrzało tylko koncert główny: Premiery 67, to już trochę gorzej. W sumie chyba jednak wykroi się parę przebojów. Ja stawiam na „Trzynastego" Poznakowskiego-Kondratowicza. „Po co nam to było" Zalewskiego — Skorupki i „Zapomniałam" Sipińskiej — Korniszewskiej. Z debiutantów stawiam na Urszulę Sipińską, bardzo ciekawy głosowo, muzykalny, kulturalny i ładny zadatek na interesującą piosenkarkę. Do innowacji udanych należy koncert „Mikrofon dla wszystkich" w wykonaniu laureatów milenijnego festiwalu Związków Zawodowych oraz wielki koncert „Raz na ludowo", w wykonaniu amatorskich zespołów artystycznych z całego kraju. Piękne to było widowisko. Właściwie należało zainaugurować nim festiwal, ale istniały obawy, że przyćmią wszystko inne. Do osiągnięć 5 festiwali zalicza się fakt, że młodzieżowe zespoły beatowe nie tylko śpiewają dziś wyłącznie po polsku, ale szukają też motywów ludowych dla swych kompozycji. Zgadzam się z tym, bo wierzę głęboko, że polskie decybele są znacznie pozytywniejsze niż anglosaskie. A tej ilości decybeli jaka spadła na amfiteatr w czasie koncertu „Popołudnie z młodością" (Skaldowie, Czerwone Gitary, Niebiesko-Czarni i Czerwono-Czarni), tego wrzasku i hałasu to ja Państwu nie umiem opisać. Ale nie chcę w tej sprawie zabierać głosu, bo ja mam stanowisko wapniaka i wytłumaczono mi, że tu o nic innego nie chodzi, tylko właśnie o to, żeby było głośno.

AMMIROZIONE

Nad podziw obrodzili tego roku w Opolu łodzianie. Reżyser — Janusz Rzeszewski, scenograf — Jerzy Masłowski, główny inspicjent — Wojciech Kokociński, wykonawcy: Ludwik Benoit, Krzysztof Cwynar, Małgorzata Cegiełkówna, Ryszard Dembiński, Eugeniusz Kamiński, Elżbieta Starostecka i Tadeusz Woźniakowski, Czesław Majewski, Henryk Debich z częścią swojej orkiestry radiowej oraz mrowie dziennikarzy. Wszyscy sprawowali się — jakby to powiedział pan prezes Sokorski — normalnie z wyjątkiem Debicha, który dokonał dzieła bez precedensu — samotnie prowadząc orkiestrę przez wszystkie koncerty. W ostatniej chwili Bogusław Klimczuk zawiadomił, że nie może przyjechać do Opola. W ten sposób Henryk Debich pobił wszelkie rekordy, spędzając po 10 godzin dziennie na amfiteatralnej estradzie i ani razu nie podniósł głosu, w przeciwieństwie do Janusza Rzeszewskiego, który pod koniec festiwalu był zachrypnięty jak zasłużony solista big-beatowiec.

ADORARE

Sławię Opole, piękne miasto, za to, że chciało i umiało zostać stolicą polskiej piosenki. I pana Henryka Tabora, przewodniczącego MRN w Opolu za to, że przyjmuje nas tak gościnnie. I pana Karola Musioła przewodniczącego Towarzystwa Przyjaciół Opola, za to, że jest wspaniałym człowiekiem. I kolegę Jerzego Bałłabana za to, że tak pięknie się nami opiekował. I pana dyrektora Opolskich Zakładów Gastronomicznych, za to, że tak dzielnie trwał na placu boju. I opolskie słowiki za niepunktowane, ale za to najpiękniejsze koncerty wieczorne. I moją gospodynię, panią Izbińską, za to, że ze mną wytrzymała. Ale nade wszystko sławię publiczność opolską, tę młodą i tę starszą za to, że zna się na piosence i bezbłędnie potrafi ocenić co dobre a co złe.

TERESA WOJCIECHOWSKA

OD REDAKCJI:

Nasz łódzki Wydział Kultury powinien przeprowadzić wnikliwe studia w Opolskim Wydziale Kultury. A nuż uda mu się podpatrzyć, gdzie się rodzą entuzjazm, inicjatywa i talent organizacyjny.

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

NOWA PACJENTKA

(FRAGMENT POWIEŚCI „DOMY NA RUINACH")

Wyraz zadowolenia i błogostanu rozpływał się po twarzy grubej Dobruchy, chłopki z Wileńszczyzny, leżącej w szpitalu w Cieplicach.

Za mało powiedziane, że Dobrucha była gruba. Miała tusze nadmierną, cielsko rozlewające się niby wyrośnięte ciasto z dzieży. Z tym wszystkim czułaby się bardzo dobrze, gdyby nie pewne bóle w nogach, które ją właśnie przyprowadziły do szpitala. Wszedłszy zaś do szpitala, nie miała ochoty wyjść stąd, tak się tu dobrze czuła. Rozłożona wygodnie w miękkim łóżku, na nieskazitelnie czystej pościeli, doglądana przez doktora i pielęgniarki, które przynosiły jej posiłki dzienne do łóżka, zabawiała się rozmową z pacjentkami, leżącymi z nią w pokoju.

— Nie boję się o dom — opowiadała ze śpiewnym akcentem — bo mieszka u mnie jedna dziewczyna. Henia jej na imię. Porządna dziewuszka, tylko lubi chłopaków. Ale która nie lubi? Ja sama, bywało... — zacukała się.

— Co bywało? — zapytała pacjentka z z nogą w gipsie, trochę z zaciekawieniem, trochę kpiąco.

— Co bywało, to bywało. Nie ma co i gadać o tym. Człowiek na to jest, aby grzeszył. Ta Henia zaś ma teraz takiego, co by się chciał z nią nawet żenić. Ale jak dla mnie, to on trochę wyleniały.

— Ale on nie z wami chce się żenić, tylko z panina lokatorka. Dla niej widać dobry.

— Bo dobry jest, człowiek z ranga, mundurowy. To też coś znaczy. Ja zawsze lubiłam mundury.

— To już dawne czasy — mruknęła druga pacjentka, patrząc na sufit.

— Pewnie, że dawne. A paniusia by lepiej spokojnie leżała, bo coś tam pani wyjęli, trzeba teraz mieć uważanie na siebie i nie denerwować się.

Że nikt jej nie odpowiadał, ponowiła: — A ten doktór to bardzo miły człowiek. Przyjemny i taki uczony! Paweł mu na imię, zapomniałam już jak dalej.

— Moszczeński — powiedziała pacjentka, która była po operacji i musiała leżeć bez ruchu, na wznak.

— Moszczeński? Możliwe. Nie sprzeczam się, bo nie wiem. Zapomniałam. Ale wiem, że Paweł. Bo ta młoda lekarka, co się do niego mizdrzy, powiedziała: panie Pawle. Stąd wiem. Bo skądbym wiedziała? Otóż on mówił, że jak wyjdę ze szpitala za tydzień, to bóle w nogach ustaną. Ale gdzie one tam ustaną! Co on wie? Te doktory młode na niczym się teraz nie znają.

— A mówiła pani, że przyjemny.

— Bo przyjemny. Co z tego? Doświadczenia mieć nie może. Jak on zresztą ma wiedzieć, co mi tam we wnętrzu siedzi? Ot, siedzi i boli. On chciałby najlepiej, lecz co on na to poradzi?

— Mówiłaś paniusia, że już pania nie boli.

— Mówiłam! Może i nie boli, ale zawsze trocha. Ano leży sobie tu człowiek o niczym nie myśli, o nic się nie troska, to i zapomina o bólu. A taki młody, to mu nie w głowie choroby starej baby, młodą to tam jeszcze pooglada i coś jej przepisze, ale mnie powiedział, że z tusza to wszystko, żebym zioła piwszy. Akurat z tusza! Jeszcze nikomu nie zaszkodziło, jeśli dobrze wygląda. A zioła niech sobie sam pije.

Współpacjentki zaśmiały się: — Przecież on nie ma paninej tuszy.

— A nie ma. Chudziutki jest, zgrabny. Ale ja zioła nie lubię. Arbata, to tak. A jeszcze niech mi dadza z arakiem — zatoczyła ręka — o, to lubię! Rozgrzewa żołądek, ciepło się robi wewnątrz, przyjemnie, tak to co innego. Arbata z arakiem owszem, ale zioła — nie.

— Już za tydzień wychodzi pani ze szpitala? — zapytała pacjentka, mająca nogę w gipsie i przez to równie unieruchomiona.

— Doktór powiada, że mogę prędzej, jeżeli chcę. Ale ja nie chcę. Pani kochana, ta mnie tutaj dobrze! Ja mu powiedziawszy, że ja dwa tygodnie jeszcze muszę pobyć. Albo trzy. Powiedziawszy: muszę — i co mi zrobi?

Błoga kuracja Dobruchy jednakże miała być nagle niemile zamącona.

Do szpitala przybyła nowa pacjentka.

Doktor Moszczeński spotkał się w parku zdrojowym ze znajomym. Rozmowa zeszła na sprawy szpitalne.

— Właśnie mam teraz ciekawy wypadek — opowiadał doktor. — Przyjechała chora, mająca niezwykłe objawy. Na ciele jej widać liczne przecięcia. Jakby skóra była w wielu miejscach przecięta nożem czy jakimś ostrym narzędziem. Pacjentka twierdzi, że skóra sama się jej tak otwiera.

— A pan podejrzewa, że to ktoś uczynił?

— Podejrzewam, że sama to robi. Jest to morfinistka. Muszę ją poddać obserwacji.

Chwilę jeszcze przechadzali się po parku, za czym lekarz pożegnał się i udał do szpitala. Po jakimś czasie wszedł do pokoju, w którym leżała Dobrucha.

Na jego widok zachwycony uśmiech rozlał się po twarzy wilnianki.

— Dzień dobry paniom. Będzie tutaj umieszczona czwarta pacjentka — oznajmił. — Zaraz tu przyjdzie. Musicie pochować wszystkie noże, scyzoryki, nawet nożyczki — wydał polecenie wesołym tonem.

Kobieta będąca po operacji i druga, z nogą w gipsie, przekręciły głowy ku lekarzowi. Dobrucha jeszcze się uśmiechała.

— A dlaczegoż to tak, panie konsyliarzu? Boi się ona widoku noża, czy jak? Bo żeby się nas bała, to by musiała być chyba durna. My się w ogóle nie możemy ruszać. A ja, panie konsyliarzu złoteńki, takie mam miętkie serce, że muchy bym nie ukrzywdziwszy, a kurczaka, chociaż jestem ze wsi, niech tak zginę, że jeszcze w życiu nie poderżnęłam. Wolałabym nie jeść, doktór kochaneńki, a nie poderżnę. Ot co!

Rys. M. Kapuścińska

— Bardzo to ładnie z pani strony, ale wszystkie ostre narzędzia musicie, moje drogie, pochować. Nie wolno wam o tym mówić do nowej pacjentki, bo ona będzie pod obserwacją. Powinna być umieszczona w separatce, lecz nie mamy miejsca. — Odchodząc dodał swobodnie — Nie bójcie się zresztą, moje panie, to nic groźnego.

— Ja nie bojaźliwa, kochanku. Każesz, konsyliarz, chować noże, to musi schowamy.

Po wyjściu doktora — z dobrotliwego oblicza Dobruchy zniknął beztroski uśmiech.

— Ciekawość, co to może być? — powiedziała półgłosem.

Współtowarzyszki poruszyły się nieznacznie, ile to było możliwe przy ich unieruchomieniu. — Pod obserwacją — powtórzyła jedna, druga ze swej strony wyraziła jakieś niespokojne przypuszczenie.

— A ja wam mówię, że to nic dobrego — oświadczyła Dobrucha po głębokim namyśle. — Ci lekarze zawsze opowiadają, jak im wygodniej.

— Dlaczego, nic dobrego? — zapytały pacjentki. — Trzeba w każdym razie zaraz pochować ostre przedmioty, jak polecił doktor.

Wszystkie trzy pochowały noże i co tylko miało jakie ostrze, wsunęły do szuflad nocnych szafeczek. — Chowasz, człowieku — utyskiwała wilnianka — a jak kto szuka, to i znajdzie.

Po chwili milczenia Dobrucha snuła dalsze podejrzenia:

— Może ta chora w ogólności nie jest chora?

— A po cóż by przychodziła do szpitala?

— Hm... — Dobrucha była nieprzekonana. — Jakaś podejrzana osoba... On już coś tam wie, tylko nie chciał przed nami powiedzieć. Znaczy się, nie chciał nas straszyć, kochane wy moje!

— Jeszcze nas uspokajał, żebyśmy się nie bały — dodała pacjentka mająca nogę w gipsie.

— Już ja się wolę bać — przyznała się wilnianka. — Niech tak, co nie daj Boże, jakie nieszczęście, to przynajmniej spodziewałeś się go, człowieku, a nie tak, że ty nic, a nieszczęście przyszło.

— Jakie nieszczęście znowu? — przestraszyła się kobieta po operacji.

— A jakie? Czy ja to mogę wiedzieć? Może i wielkie. A jeżeli ona jest chora na taka choroba, że chce każdego zabijać, nożem krajać?

Obie kobiety jęknęły.

— A co wy myślicie? — zaperzyła się Dobrucha. — Nie wypisują to po gazetach różne różności? Wypisują. A ludzie nie opowiadają? Opowiadają. Bo dlaczego by ten doktór kazał nam chować noże? Bardzo mnie to ciekawi.

— Przecież nie dawaliby takiej do pokoju razem z chorymi!

— A jak miejsca nie mają, to co? W sieni będą ją trzymać? — tłumaczyła Dobrucha. — Zresztą co im tam! Wyleczyć ją chcą, tylko, że ona może nas za ten czas zakatrupić. Ot, co! Tego się bój! Miejsca nie mają.

— Pani Dobrucho, powiemy wszystkie trzy, że się nie zgadzamy, aby taką morderczynię kładli tu razem z nami!

— Akurat będą się oni pani pytali o zgodę! Miejsca nie mają. Już ja wolę schować nóż pod poduszkę. — Wyjęła go z szufladki i włożyła pod poduszkę. Niestety, dwie inne pacjentki nie mogły wykonywać tak złożonych ruchów.

— Ona tak w dzień, to się na nas nie rzuci, ale w nocy — może — doszła Dobrucha do przekonania. — Wolę ja ta noc nie spać. Niech tylko wstanie, i, na psa urok, do mnie z nożem, to ja w krzyk! I z łóżka na podłogę, ta i w nogi!

— A my? — jęczały współtowarzyszki. — Przecież my się nie możemy ruszyć!

Kroplisty pot okrył czoło jednej z chorych, gdy druga z trudem starała się, aby wydostać nożyk z szufladki i znaleźć dla niego lepszy schowek. Dobrucha okazała naraz pogodzenie się z losem. — Ha, Bogu trzeba dusze polecić i pomodlić się, a i spowiedź by warto odprawić, aby w grzechu śmiertelnym nie umrzeć.

— Co robić? Co robić? — powtarzały obie przerażone pacjentki.

— A ja wiem! Trzeba by naszego doktorka poprosić, żeby księdza sprowadził — poradziła Dobrucha.

— Co nam pani tu z księdzem wyjeżdża! — zezłościły się obie. Zoperowana kobieta dodała: — Ja wcale nie myślę umierać.

— Nie w naszej to mocy, droga pani, nie w naszej. A w śmiertelnym grzechu przykro umrzeć.

Do pokoju pielęgniarka wprowadziła nową pacjentkę. Była to młoda jeszcze osoba, o puszystych ciemnych włosach, będących trochę w nieładzie, i o dużych czarnych oczach z rozszerzonymi źrenicami. Zimny dreszcz spłynął po trzech pacjentkach, leżących w salce. Przyglądały jej się bacznie. Dobrucha przełknęła ślinę, pogładziła ręką kołdrę i powiedziała:

— Tak.

Przybyła uśmiechnęła się życzliwie do obecnych i zagadała: — A jakże się paniom tutaj powodzi?

Odpowiedziała jedynie Dobrucha:

— Jak dotąd, to dobrze.

Nowa pacjentka wkrótce przeszła do zwierzeń na temat swojej dolegliwości, co chorych najbardziej zawsze przejmuje. — A ja mam dziwną chorobę. W wielu miejscach na ciele otwiera mi się skóra, tak jakby przecięta nożem.

— Rzeczywiście, powiedzieć, że dziwna — potwierdziła prędko Dobrucha. Po czym spojrzała na towarzyszki i mrugnęła znacząco. Obie bez słowa mierzyły wzrokiem niebezpieczną pacjentkę.

Przybyła biadała. — Nawet lekarze nie mogą się na tym poznać.

— Już oni się poznają. Byle nie za późno...

I naraz Dobrucha westchnęła z rozżalonego serca: — Ludzie wy moi kochani!

Obie współtowarzyszki milczały jak zaklęte.

— Pokażę pani — przybyła chciała z gorliwą gotowością uchylić opatrunek i pokazać Dobrusze swoje rany, lecz ta natychmiast zasłoniła się rękami.

— Niech mi pani nie pokazuje, broń Boże, paniuńciu droga! Ta ja przecie nie mogę patrzyć na krew! Mnie zaraz mdli.

— A jak się pani skaleczy nożykiem, czy także nie może się patrzyć, gdy pani palec krwawi?

Dobrucha ruszyła się niespokojnie i znowu popatrzyła na dawne współtowarzyszki, które w dalszym ciągu milczały wymownie, nie spuszczając oka z nowo przybyłej.

— Dlaczego to ja się mam skaleczyć? — zapytała Dobrucha, akcentując wolno.

— No, nie musi pani, ale nie wiadomo, co się komu może przytrafić.

Nieruchome pacjentki z trudem naciągnęły koce aż do połowy twarzy, jakby się chciały ukryć przed niebezpieczeństwem. Dobrucha przymknęła oczy.

Dalszą rozmowę przerwało wejście sanitariuszki, która przyniosła kolację. Nowa pacjentka poprosiła o herbatę, a gdy dostała ją, wyjęła swoją cytrynę.

— Czy nie ma która z pań noża?

— Nie mamy! — odpowiedziały niemal chórem.

— To nic. Mam w torebce scyzoryk — wydostała go i odkroiła plasterek cytryny. Dobrucha bacznie przyglądała się scyzorykowi. Obie współtowarzyszki straciły apetyt.

Jednak salowa zabierając nakrycie po kolacji, zabrała również scyzoryk.

— Nie można mieć żadnych ostrych narzędzi — objaśniła, dostawszy widocznie polecenie od doktora. Trzy pacjentki odetchnęły z ulgą.

— Co za pomysł, zabierać komuś scyzoryk! — gniewała się po jej wyjściu pacjentka. — Dobrze, że mam w torebce jeszcze żyletkę — zwierzyła się towarzyszkom. — W ostateczności mogę coś nią przekroić.

Dobrucha nie wytrzymała.

— Moja pani złoteńka! Oddajcie wy i tą żyletkę salowej. Jak nie można, tak nie można.

— Głupia bym była oddawać. Nic nie mogłabym przeciąć.

Pozbawione swobody ruchów pacjentki patrzyły na nią z bezradnym lękiem. Dobrucha zapytała dociekliwie:

— A cóż paniusia chce przecinać?

— Co będzie potrzeba — odpowiedziała chora, mocno poirytowana.

W nocy żadna z trzech dotychczasowych pacjentek nie mogła zmrużyć oka. Nasłuchiwały, czy przybyła zasnęła już. Ruszała się na łóżku, słychać było, że nie śpi. Każde takie poruszenie przejmowało je trwogą.

Naraz obca poczęła czegoś szukać na stoliku. Krew zastygła w żyłach współtowarzyszek. Rozległ się trzask zapałki i blask ogienka zajaśniał w pokoju. Wszystkie trzy wydały okrzyk przerażenia. Dobrucha mimo swej otyłości zerwała się na równe nogi z piorunującą szybkością.

— Co się stało? — przeraziła się także nowa pacjentka.

— Co pani robi?! — krzyknęła Dobrucha, a dwie unieruchomione towarzyszki wychyliły ku niej głowy.

Ponieważ zaskoczona, nie odpowiadała, Dobrucha zawołała godnie podniesionym głosem:

— Ta mów, złoteńka! Co pani tu wyrabia?

— Chciałam zapalić papierosa — usprawiedliwiała się obca. — Nie mogę zasnąć.

Dobrucha stwierdziwszy, że obca rzeczywiście zapala papierosa, posiedziała chwilę na łóżku z niezdecydowaniem, wreszcie westchnawszy położyła się z powrotem. Dwie pacjentki pojękiwały cicho.

Dobrucha czuwała w dalszym ciągu, baczna na każdy ruch chorej. W końcu jednak sen ją zmorzył. Ale miała męczące zjawy senne, w których ciągle pokazywała się nowa pacjentka, uzbrojona w rozmaite mordercze narzędzia. Dobrucha przebudziła się oblana potem.

— Och, wy moje panie kochane! — żaliła się dawnym towarzyszkom, korzystając z chwili, gdy niebezpieczna pacjentka wyszła z salki. — Żeby druga taka noc, to by człowiek osiwiał. Mnie by to zjadło. Nie wytrzymam dłużej, nie wytrzymam, jak mi Bóg miły!

— A my? Co my mamy robić? Okropną noc przeżyłyśmy!

— Widzicie wy? Co na nas przyszło, moje kochaneńkie! Ot bieda, i tyle. Śniło mi się, że ta nowa...

— No, no?...

— ...że podeszła do mnie z żyletką i dopiero jak nie zacznie mi po moją szyja ryziu-ryziu... Ach, toż było straszne! I tak mówiła jeszcze przy tym: „nic nie zrobię, bo tępa żyletka. Muszę iść po nożyk". Słyszałyście coś podobnego?

Pacjentki były wymęczone groźną nocą i rozbite moralnie.

— Przecież my nie możemy się ruszyć! Ja jestem po operacji, a pani ma nogę w gipsie. W razie czego nie mogłybyśmy nawet uciekać...

— A nie możecie — przyznała Dobrucha. — Ale ja mogę i opuszczam już szpital. Dosyć dla mnie tego! A tak było dobrze, tak spokojnie, tak miło. No i co? Skończyło się...

Robert Gluth

bardzo nieśmiałe blaski

1.

staliśmy wtedy nadzy w rozchylonym oknie
gdy chłód zadzwonił lekko palcami o szybę:
szkarłatny pożar słońca
świt na widnokręgu
szkarłatne smugi Wolę połączyły z niebem
wtedy staliśmy nadzy w oknie na ósmym piętrze
i mogłaś tyle Warszawy wziąć zwyczajnie w ręce
szczęście nagłe
narastające
giętka, mocna, energiczna, moja
że niezwykła jesteś — jak topola
szczęście w gardle szczęście — pokonane
szczęście — zmęczenie w kolanach
żeś nad całą tą przestrzenią panująca
że swobodna głodna niewyspana
szczęście w ramionach
o — szczęście

2.

sami w uśpionym świecie
sami w świecie, który się obudzi
zły, że wraca do przytomności
niepodobni jeszcze do ludzi
już niepodobni do siebie
nasze myśli innymi ulicami biegają teraz po miesc
tam na dole
pokręcą się poszukają w półmroku
pogubione kłopoty niepokoje przywloką
jasną taflą stanie dzień między nami

WARSZAWA — ŁÓDŹ 67

BLASKI I CIENIE

Sezon teatralny 1966 — 67

JAN KOPROWSKI: Dzisiejszą dyskusję pragniemy poświęcić sezonowi teatralnemu 1966/67. Myślę, że jest to pożyteczny zwyczaj, do którego powinniśmy wrócić, a mianowicie, żeby ludzie zainteresowani teatrem, recenzenci i krytycy, którzy obserwują życie teatralne Łodzi, zbierali się pod koniec sezonu i spróbowali podsumować rezultaty, porównać je z rezultatami sezonu poprzedniego, wyciągnąć wnioski. „Odgłosy" miały w tym sezonie dwu recenzentów — obydwaj są tu obecni — p. dr Stanisława Kaszyńskiego i p. Romana Łobodę. Są tu również p. red. Władysław Orłowski i p. red. Mieczysław Jagoszewski, którzy na bieżąco recenzują wydarzenia teatralne w naszym mieście. Dla przypomnienia chciałem kolegom podać ważniejsze pozycje w poszczególnych naszych teatrach. W Teatrze Nowym grano „Kartotekę" Różewicza, „Sonatę Belzebuba" Witkacego, „Sen srebrny Salomei" Słowackiego, „Kowal, pieniądze i gwiazdy" Szaniawskiego. Jeżeli chodzi o teatr Jaracza to tutaj należy wymienić „Namiestnika" Hochhutha, „Białą diablicę" Webstera, „Kaukaskie koło kredowe" Brechta i „Czarownice z Salem" Millera. 7.15 — „Piekło Izabelli" i „Mój przyjaciel Harvey". Wreszcie Teatr Powszechny — „Mocne uderzenie", „Pies ogrodnika" Lope de Vegi, „Tango" Mrożka", „Święta Joanna" Shawa. Proszę, żeby jako pierwszy wypowiedział się Roman Łoboda.

ROMAN ŁOBODA: Nasuwa mi się taka myśl: z wszystkich dyscyplin sztuk — teatr ma chyba największe znaczenie wychowawcze i jeżeli chodzi o repertuar poszczególnych teatrów, to nie znajduję tu jakiejś wyraźnej linii ani wychowawczej, ani artystycznej. Teatr Jaracza był, wydaje mi się, w tym sezonie najodważniejszy. Wystawienie „Białej diablicy" świadczy, że teatr nie stroni od eksperymentów. Teatr Nowy wziął na warsztat „Sonatę Belzebuba". Szkoda tylko, że ten renesans twórczości Witkacego zapoczątkowała Warszawa, a nie Łódź. W ogóle w Łodzi wystawia się sztuki, które już się sprawdziły gdzie indziej, przede wszystkim w Warszawie. Ten problem należy chyba przedyskutować. **Chodzi o to, żeby sztuki, które coś znaczą, u nas miały swoje prapremiery.** A jak było dotychczas? — Warszawa gra to, co sprawdziło się w Paryżu, Łódź zaś to, co sprawdziło się w Warszawie. Nie mamy odwagi wyjść naprzeciw jakiejś autentycznej pozycji, którą potrafimy sami ocenić jako ludzie teatru. Znaczący jest taki teatr, który potrafi wziąć na warsztat nową sztukę i w oryginalny sposób ją wystawić. Dlatego uważam, że mimo wszystko, wystawienie „Namiestnika" jest dowodem pewnej odwagi, jest to bowiem sztuka dyskusyjna, którą łatwo było spartaczyć. Nie mniej ważną jest kadra reżyserska. **Nie ma w Łodzi ciekawej, trudno powiedzieć szkoły, ale linii reżyserskiej, osobowości reżyserskiej.** Np. Teatr Powszechny gra „Świętą Joannę" tak jak grało się ją zawsze, nie wprowadzono tu nic nowego. „Tango" grano również podobnie jak w Warszawie z tym, że u Axera podteksty filozoficzne były bardziej wypunktowane. Niekoniecznie trzeba wystawiać sztuki „pod publiczkę". Sztuki trudne mają również dobrą frekwencję.

STANISŁAW KASZYŃSKI: Wydaje mi się, że to co dotąd zostało powiedziane, jest interesującym wstępem do naszej dyskusji. Wstępem punktującym pewne węzłowe sprawy. Ja osobiście zgadzałbym się z tym generalnym zarzutem braku precyzacji linii artystycznej poszczególnych teatrów. Sprawa tzw. profilu, o którą walczyliśmy przed wielu laty, była chyba postulatem słusznym. Wydaje mi się, że jeśli w jakiejś mierze teatry przed sześciu, pięciu, czy nawet czterema laty określiły siebie, to obecnie zostało to zaprzepaszczone. Nie ma w tej chwili mowy o konsekwentnym rozwijaniu linii artystycznej poszczególnych teatrów, gorzej, jest tylko pogoń za doraźnym efektem frekwencyjnym. Chciałbym to uzasadnić na kilku przykładach. Cóż to za odwaga wystawiać Hochhutha. Cóż to za odwaga wystawiać sztukę, która się sprawdziła na wszystkich scenach, która działa i oddziałuje swoim ciężarem problemowym, społecznym i politycznym, szczególnie w naszej sytuacji. Cóż to za odwaga przejmować utwór w gotowej formie inscenizacyjnej od Dejmka, cóż to za odwaga, powiedzmy, utwór ten dość nieudolnie, w określonych ściśle ramach inscenizacyjnych prezentować. Książka Hochhutha ma około 200 stron. To jest duży materiał. Niestety „Namiestnikowi" wystawionemu u nas, brak nie tylko umiejętności artystycznej, ale wręcz adaptacyjnej. Tej umiejętności pierwszej, która decyduje o określonym kształcie formalnym, o określonym wydźwięku społecznym. Jeżeli chodzi o Teatr Jaracza, to stwierdzam rozwijające się tam tendencje, polegające na tym, że próbuje się wykorzystywać dobrą passę, stworzoną przez kilku pisarzy m. in. przez Sienkiewicza. I muszę powiedzieć, że z ogromnym niepokojem przyjąłem fakt zapowiedzianej inscenizacji „Ogniem i mieczem" i całej trylogii. To mnie kompletnie dobiło. Teatr ambitny, który pod tą samą dyrekcją F. Żukowskiego może się pochwalić ciekawymi prezentacjami XX-wiecznych dramaturgów (należy tu przypomnieć Pirandella, Montherlanta, nagle chwyta się sposobów najłatwiejszych. Dodajmy, że „Biała diablica" i „Czarownice z Salem" również są wystawione pod kątem zdobycia sobie widza. Jedynym ambitnym przedstawieniem było „Kaukaskie koło kredowe".

Jeśli spojrzymy na inne teatry, to tu również niewiele mamy do wyróżnienia poza jednym wyjątkiem: wielkiej inscenizacji wielkiego dzieła „Sen srebrny Salomei". Niepotrzebnie, moim zdaniem, powtórzono „Szklaną menażerię". Właśnie w Łodzi odbyła się przed laty polska prapremiera tej sztuki. To są przykłady, świadczące o braku ambicji artystycznych naszych teatrów. Najlepszy spektakl na przestrzeni dwóch ostatnich lat jest dziełem człowieka, który wkrótce opuści, a może już opuścił Łódź — Tadeusza Minca. Dzieło, które opracował najlepszy reżyser w Łodzi, było jego pieśnią łabędzią na tym terenie. Bo nie chodzi tu tylko o sprawę przejęcia pewnej repertuarowej pozycji. Świetnych dramatów nie jest tak wiele — przejęcie jakiegoś dramatu jeszcze nie jest tragedią. **Rzecz polega na tym, że przejęcie pozycji repertuarowej bywa u nas z reguły przejęciem formuły inscenizacyjnej i w konsekwencji interpretacji.** A więc jest to w zasadzie przeniesienie mechaniczne wysiłku, doświadczeń i wyobraźni ludzi innych. I na tym, moim zdaniem, polega niepokój o los repertuaru.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI: W znacznej mierze zgadzam się z uwagami przedmówców. Chciałbym skupić się na kilku takich momentach węzłowych, w których widzę oznaki nie najlepszej sytuacji, już w naszej dyskusji sygnalizowanej. Punkt pierwszy to zagadnienie wielkiej ostrożności w doborze repertuaru. Ostrożności tak daleko posuniętej, że nawet skoro się sięga po Różewicza, trzeba sięgnąć po „Kartotekę". A przecież można by sięgnąć po rzecz świeższą, nigdzie przecież nie jest powiedziane, że należy zaczynać od pieca. Tym bardziej, że „Kartoteka" jest już w sensie nośności swojej trochę wyeksploatowana, znaczy, że trudno tu mówić o jakiejś rewelacji treściowej. Treści „Kartoteki" zostały już przepuszczone przez najrozmaitsze młynki. Tak, że właściwie ta nasza łódzka „Kartoteka" zbyt wiele nowego powiedzieć nie mogła. Dalej: sprawa bardzo nieśmiałego sięgania do współczesnej dramaturgii, a już niesłychaną wstrzemięźliwość wykazują teatry w sięganiu do współczesnej dramaturgii polskiej. Nie chcę się uciekać do własnych doświadczeń, ale twierdzę, że dyrektorzy teatrów łódzkich są pod tym względem więcej niż wstrzemięźliwi. Nieprawdą jest, jakoby brakowało dobrych sztuk polskich. Gdybyż jeszcze zamiast polskich brano dobre rzeczy obce! Gdzie tam! Przykład: „Rozmowa" Mauriaca, sztuka dewizowa, zła. „Happy end" uważam za sztukę, której wystawienie również można było sobie darować. Czyli teatry nasze sięgają po sztuki dewizowe złe, które nawet nie dają sukcesu kasowego i frekwencyjnego. I tu przeszedłbym do drugiego punktu uogólniającego: wydaje mi się, że nie udało nam się wytworzyć nacisku opinii społecznej na dyrekcje teatrów. Panuje, moim zdaniem, absolutna samowola.

Ale najważniejsze, że wszelkie dyskusje, jakie na ten temat podejmujemy w różnych środowiskach, np. na radzie repertuarowej przy Wydziale Kultury, w sposób minimalny wpływają na kształtowanie doboru repertuarowego. I nikt się tym nie interesuje. Nie tylko, że nie interesują się tym dyrektorzy teatrów i nie wyciągają wniosków w stosunku do siebie, ale w małym stopniu interesują też czynniki nadzorujące działalność naszych teatrów. W związku z tym przeskoczę do spraw Sienkiewicza, poruszonych tu przez pana dr Kaszyńskiego, pod którego uwagami podpisuję się. Jako autor trudniący się adaptacją literackich utworów dla telewizji, czy dla teatru, mam do tego szczególny stosunek. Uważam, że na adaptację istnieje zapotrzebowanie. Jeżeli jakiś wybitny pisarz napisał coś bardzo dobrego nie z przeznaczeniem dla teatru, nie widzę powodu, żeby tych dzieł nie adaptować. Np. „Wokulski", „Kolumbowie". „Przedwiośnie" były to wszystko próby wydobycia z tekstu literackiego niedramatycznego jakichś nowych wartości. Natomiast nie wyobrażam sobie odczytania w teatrze „Trylogii" i nie widzę, żeby można tu było coś ciekawego powiedzieć. Ale możemy rozrywać szaty, możemy przyjmować postawę Rejtana, a teatr i tak zrobi swoje, dlatego, że „Gromada" zagwarantowała 120 przedstawień z dowiezieniem ludzi z terenu. Nauczycielstwo w terenie, mając pewne trudności z przekazaniem dzieł literatury klasycznej młodzieży szkolnej, chce tego bryku i teatr na to idzie. Niewyrobiony widz przyjmie tę przeróbkę jako oryginał, co jest nieprawdą. Bo weźmy np. „Ogniem i mieczem". Co można pokazać w teatrze z epickich opisów bitew? W Tarnowie, w Teatrze Ziemi Krakowskiej, adaptacja „Trylogii" miała olbrzymie powodzenie i chyba dlatego nasz teatr również to wystawi.

STANISŁAW KASZYŃSKI: Dlaczego „Trylogia", dlaczego jeżeli już chodzi o Sienkiewicza, np. nie „Bez dogmatu", znakomita powieść filozoficzna?

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI: Gdyby „Trylogia" znalazła się w planach Teatru Ziemi Łódzkiej, ocenialibyśmy to zupełnie inaczej. Chciałbym natomiast bronić „Białej diablicy" — choć jestem w tym sądzie odosobniony — jako interesującego pociągnięcia teatru, który pozwolił młodemu reżyserowi wystawić już drugą sztukę. Co do Grzegorzewskiego (bo o nim tu mowa) stwierdzam, że należy on do nielicznych ludzi teatru, nawet w skali krajowej, którzy mają swoją wizję teatru. Fakt, że dano mu do zrobienia dwa przedstawienia, świadczy o teatrze jak najlepiej, lecz należy zganić teatr za to, że nie dał mu do dyspozycji najlepszej obsady. Dodać tu wypada, że **polityka ściągania reżyserów z zewnątrz, przy bardzo słabej kadrze reżyserów w Łodzi, też nie przedstawia się najlepiej.** A przecież przyjeżdżali do nas kiedyś i Korzeniewski, i Wyszomirski, i inni. Jeżeli nie mamy własnej dobrej kadry reżyserskiej, to dlaczego sięgamy jeszcze po drugorzędnych czy trzeciorzędnych reżyserów? Pewne elementy poprawy można by zarejestrować w tym sezonie, w porównaniu z ubiegłym w Teatrze Nowym. Gdyby Teatr ten szedł dalej po jakiejś linii wstępującej może by to dało dobre rezultaty. Jeżeli chodzi o Teatr Powszechny, trzeba powiedzieć, że spełnia on swoją rolę stosunkowo przyzwoicie. Najbardziej serio należałoby się zastanowić nad repertuarem Teatru Jaracza. W pięknie odrestaurowanym, rozbudowanym teatrze chciałoby się widzieć same sukcesy. Niestety, plany repertuarowe tego teatru na przyszły sezon budzą już niepokój.

MIECZYSŁAW JAGOSZEWSKI: W sądzie, jak wiadomo, obok prokuratorów są i obrońcy. Do tego czasu przemawiało czterech prokuratorów, pozwólcie, że ja z urzędu wezmę na siebie rolę obrońcy. Podkreślam: zgadzam się zupełnie z zarzutami, które wysunęli moi przedmówcy. Teatry łódzkie nie wyrobiły sobie dotąd własnego profilu, repertuar jest za mało ambitny, zbyt ostrożny, brak współczesnej sztuki. Ale czy nie ma w tych cieniach pewnych blasków? Niedawno byłem na zjeździe teatralnym w Tarnowie w związku z jubileuszem Teatru Ziemi Krakowskiej. Wysuwano tam jako wielkie osiągnięcie teatru, że 65 procent widzów stanowi młodzież szkolna. Chodzi o to, że frekwencja, to nie tylko środek do ratowania budżetu teatru, lecz, że tędy prowadzi droga do stworzenia przyszłych widzów. Ale jak ta sprawa wygląda na terenie Łodzi? Otóż trzeba z uznaniem powiedzieć, że jeśli istotnie zabrakło w repertuarze sztuk pionierskich, prapremier, to z drugiej strony teatry łódzkie mają na względzie masowego odbiorcę. I jeśli przerzucimy spis granych sztuk, okaże się, że ogromna ich większość to sztuki, które mogą docierać do młodzieży. **Akcja abonamentowa dla szkół jest wielkim osiągnięciem, o którym nie trzeba zapominać.** Mówi się o tym w całym kraju. I „Kaukaskie koło kredowe", i „Namiestnik" stały się sukcesem frekwencyjnym. Teatry łódzkie pamiętają o tym, że Łódź jest miastem robotniczym, ale zapominają, że jest także miastem uniwersyteckim, które wymaga repertuaru ambitniejszego. Druga sprawa, którą chcę poruszyć, to programy teatralne, które mają za zadanie zbliżyć sztukę do widza. **Otóż trzeba zauważyć, że w porównaniu z latami ubiegłymi, programy te bardzo się poprawiły.** Ale nie stało się to jeszcze zasadą. Np. Teatr Jaracza b. starannie opracowuje programy, czego nie można powiedzieć o Teatrze Nowym, w którym wciąż jeszcze występuje zjawisko lekceważenia widza, który chciałby dowiedzieć się czegoś więcej z teatralnego programu. Trzeba zwrócić uwagę kierownikom literackim, żeby bardziej sensownie redagowali programy teatralne, mając na względzie interesy odbiorcy.

WACŁAW BILIŃSKI: Chciałbym poruszyć sprawę, która niepokoi nas wszystkich, a która jest na pewno sprawą prowokującą przedyskutowanie. Proszę zauważyć, że w Łodzi mamy od jakiegoś czasu do czynienia ze zjawiskiem monopolizowania. Mianowicie: scen mamy coraz więcej, a dyrekcji coraz mniej. Rezultat jest taki, że w mieście, w którym scen jest osiem, ilość dyrekcji skurczyła się. Po drugie — wiadomo nam, że były prowadzone rozmowy z Dejmkiem. Wiadomo, że Skuszanka była do „zdobycia", lecz poszła do Wrocławia. Zastanawiam się czy w tak ogromnym organizmie jak Łódź teatralna, w sytuacji, w której istnieje pewien stały odpływ aktorów, ta anemia personalna nie przyczynia się również do powstawania kryzysu teatralnego. Ambicje Wrocławia awansowania w skali ogólnopolskiej wyrażają się chociażby w fakcie, że pozyskał on właśnie Skuszankę, że poszedł tam Grotowski. Nasze sumienie wydaje się czyste, ponieważ **dostrzegamy i życzliwie traktujemy objawy rodzenia się interesujących osobowości teatralnych. Np. chociażby Grzegorzewskiego.** I wreszcie problem trzeci, również natury personalnej. Wydaje mi się, że skład komisji repertuarowej domaga się jakiegoś przepracowania. Bo jeżeli dyrekcję obciąża sprawa „Trylogii", to obciąża ona także i komisję repertuarową. „Szklana menażeria", która wchodzi na scenę po świetnej i dużo lepszej prapremierze łódzkiej i polskiej przed laty, i po dużo lepszym spektaklu telewizyjnym, jest oczywistym dowodem nieprzemyślenia spraw repertuarowych. Poza tym może pewne grzechy, obciążające repertuar, wynika z postawy komisji repertuarowej.

STANISŁAW KASZYŃSKI: Wracając do wypowiedzi red. Jagoszewskiego. Otóż w pięknych czasach Dejmka, kiedy miałem zaszczyt być zaproszonym przez niego do współpracy w organizowaniu wielkiej placówki teatralnej, została wysunięta koncepcja wydawania (może pod tym samym tytułem jak za czasów Schillera) zeszytu teatralnego. Ta nowa „Łódź teatralna" zawierałaby bogato ilustrowany materiał z częścią historyczną, z częścią współczesną, z dokumentacjami, ze szkicami, z wprowadzeniem popularnym itd. Kolegium stanowiliby kierownicy literaccy zainteresowanych teatrów. Chciałbym ten stary niezrealizowany projekt przypomnieć. Druga sprawa, to sprawa frekwencji. Chciałbym powiedzieć parę słów o frekwencji w teatrze poznańskim, gdzie, jak stwierdzają naoczni świadkowie, przedstawienie „Śmierć i męczeństwo Marata", dodajmy przedstawienie znakomite, nie ma powodzenia. Na jednym przedstawieniu było 50 osób, na drugim około 30. Zaraz po przyjeździe z Kalisza miałem okazję rozmawiać z dyr. Makarskim i z dyr. Nowicką. Pytałem czy taki fakt zaszedłby kiedykolwiek w Łodzi. Otóż nie. Zawiera się w tym pochwała widowni łódzkiej, pochwała tym większa, że „Tango", sztuka przecież niełatwa, wymagająca od widza przygotowania, szła ponad 120 razy. Jest to fakt ogromnie pocieszający. Chciałem podkreślić jeszcze jedno, nawiązując do tego, cośmy sobie już powiedzieli: **Łódź jest miastem o wielkich tradycjach teatralnych, miastem, które miało szczęście do znakomitych scen — i stąd wołanie o teatr naprawdę ambitny.** Niestety, coraz mniej tych pięknych wieczorów teatralnych, coraz mniej wrażeń, które się pamięta. Nasze postulaty są dyktowane troską i niepokojem.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI: Łódź na przestrzeni 20-lecia oddała krajowi, a przede wszystkim stolicy cały szereg wybitnych osobistości teatralnych. Odszedł Marek Okopiński, który prowadził kilka scen wojewódzkich i wszędzie święcił triumfy. Można w jakimś sensie przyznać się również do Górkiewicza. Dlaczego nie sięgamy do ludzi z naszym miastem związanych? Czy w grę wchodzi obawa, by nie stwarzać zbyt mocnej konkurencji? Wrócę jeszcze do zagadnienia — frekwencja i ambicja. Akceptuje to, co powiedział red. Jagoszewski, natomiast chodzi o rzecz inną. Jeżeli udało się wypracować formy przyciągania widza, to trzeba widowni dać dobry teatr. Trzeba sobie powiedzieć, że w skali krajowej coraz mniej pisze się o naszych scenach. **Proszę przejrzeć „Życie Literackie" na przestrzeni paru ostatnich lat. Nie ukazał się tam ani jeden artykuł, omawiający łódzkie spektakle (od czasów wystawienia „Dziadów" przez Sykałę).** Bo w tej chwili nie bardzo jest po co tu przyjeżdżać. Łódź miała przecież szanse zajęcia pierwszego miejsca w kraju, była wyraźnie w czołówce, a w każdym razie nigdy nie spadała w tabeli niżej III miejsca. Gdy się mówi o Poznaniu, mówi się o Okopińskim, gdy się mówi o Bielsku Białej, mówi się o Górkiewiczu. W Łodzi pewna indywidualność stanowi Sykała. A co do frekwencji chciałem powiedzieć, że jest jeszcze jeden dowód, nie pozwalający tak płochliwie traktować łódzkiej publiczności. W biografię teatralną Łodzi wszedł Teatr Wielki i nie okazało się to katastrofalne dla teatrów dramatycznych. W sensie frekwencyjnym przeszło to bezboleśnie. Duża część widzów, którzy wypełniają salę Teatru Wielkiego, to widzowie „zdobyci". Był czas, że teatry obawiały się Różewicza, Witkacego i innych autorów. Otóż nie ma się czego obawiać. Trzeba szukać dróg podniesienia poziomu, wzmożenia ambicji. Nas, ludzi zaangażowanych w sprawy teatru i jednocześnie będących patriotami tego miasta, nie zadowala panująca przeciętność.

ROMAN ŁOBODA: Tak wygląda, jakbyśmy się podzielili na prokuratorów i obrońców. A przecież tak nie jest. Powoduje nami miłość teatru. Jakie będą reperkusje naszej rozmowy, trudno przewidzieć. Myślę, że włączy się w naszą dyskusję jakaś instancja wyższa, ale przede wszystkim chodzi o to, żeby nasze uwagi wzięły sobie do serca teatry. Ja także jestem przeciwny adaptacji Sienkiewicza. „Namiestnika" nie uważam za sukces. To nie jest żadna sztuka, żadna dramaturgia, w dodatku źle zinterpretowana. Dobry był spektakl „Kto się boi Wirginii Woolf?" dlatego, że szedł po linii teatru awangardowego. Chodzi nam o to, by teatr przygotowywał odbiorców do coraz ciekawszych, coraz bardziej znaczących problemów.

JAN KOPROWSKI: Uważam, że końcowy fragment wypowiedzi kol. Orłowskiego i kol. Łobody zwalniają mnie od tzw. podsumowania. Chciałbym jedynie podkreślić, że redakcja nasza, inicjując tę rozmowę, na temat dobiegającego końca sezonu repertuarowego, nie kierowała się żadnymi tendencjami do sądzenia, do jakiejś niecierpliwej oceny. Myślę, że porównanie red. Jagoszewskiego: tu są prokuratorzy, a tu obrońcy, jest chwytem retorycznym. Chciałbym dodać, że intencją naszej dyskusji była życzliwość dla teatru, chęć większego związania się z życiem tego teatru. W końcu wszyscy mieszkamy w tym mieście i nam także, podobnie jak wszystkim artystom i dyrektorom, zależy na tym, żeby to był ośrodek imponujący, dynamiczny, żeby ludzie przypomnieli sobie znowu, że Łódź teatralna ma coś do powiedzenia, żeby zdarzało się to, co zdarzało się kiedyś, gdy przyjeżdżali do nas krytycy i recenzenci, a także publiczność z innych miast. Może fakt, że na „Kniazia Igora" organizowano przyjazdy do Łodzi, jest zapowiedzią zmian, których oczekujemy. Wiarą i przekonaniem, w których się kryje szczypta optymizmu, chciałbym zakończyć naszą rozmowę, podziękować kolegom za udział i za ważkie wypowiedzi.

JANUSZ DUNIN

40 lat Łódzkich Organizacji Miłośników Książki

Trwające przez wiele lat trudności, jakie na łódzkim terenie napotykali pracownicy książki — literaci, wydawcy, bibliotekarze czy księgarze miały swoje źródło w długotrwałym upośledzeniu kulturalnym mieszkańców największego polskiego ośrodka przemysłowego. Nie brakło jednak ludzi, którzy pragnęli tu pracować dla kultury poprzez służbę książce. Przez wiele lat trwały wysiłki zmierzające do założenia biblioteki publicznej, minęło właśnie 70 lat od chwili, gdy dziennik „Rozwój" rozpoczął kampanię prasową o łódzki księgozbiór.

Rok 1917, w którym powstała wreszcie wymarzona biblioteka publiczna nie załatwiła jeszcze wszystkich spraw. Konieczna była dalsza praca, rozumieli to ludzie oddani sprawom książki, tacy jak dyr. Jan Augustyniak z żoną Ireną czy pedagog Zygmunt Lorentz, który z uczniami zorganizował w roku 1925 „Wystawę druków" — jej zamierzeniem było zainteresowanie szerokich sfer miasta w szczególności młodzieży szkolnej książką i wiedzą o niej.

Do ożywienia tej działalności i nadania jej organizacyjnych ram przyczynił się fakt, że w roku 1926 przeprowadził się do Łodzi z Krakowa niemłody już polonista, działacz i literat Przecław Smolik. Musiało mu brakować w zapracowanej Łodzi, intelektualnej atmosfery Krakowa, gdzie był między innymi członkiem słynnego Towarzystwa Miłośników Książki. Wkrótce po przyjeździe nawiązał on kontakt z Janem Augustyniakiem i już 10 kwietnia 1927 roku odbyło się zebranie organizacyjne nowego stowarzyszenia, które przyjęło nazwę Towarzystwo Bibliofilów w Łodzi. Organizacja stanęła szybko w rzędzie najbardziej dynamicznych towarzystw tego typu w Polsce. Propagowała sprawy książki przez organizację prelekcji i wystaw związanych z wydawnictwami, ale głównym osiągnięciem był dorobek publikacji, 8 książek, z których każda stanowi poważną pozycję edytorską.

Wśród nich ekslibrysy Karola Hillera, Zygmunta Hajkowskiego „Losy księgozbioru Feliksa Wężyka", Andrzeja Zanda „Z dziejów dawnej Łodzi", Aleksandra Brücknera „Legendy i fakty" oraz 4 prace samego Smolika, z których każda była edytorskim majstersztykiem. Ale na tym nie wyczerpały się zasługi Towarzystwa dla książki w Łodzi. Udało się Smolikowi przekonać właściciela „Drukarni Polskiej" Mazurkiewicza, aby nabył dla swej oficyny piękne, choć kosztowne czcionki. Łódzcy drukarze przyzwyczajeni do skromnych wymagań lokalnego odbiorcy przez dłuższy czas uważali jakoby Mazurkiewicza za „samobójcę". Szybko jednak okazało się, że ryzyko się opłaciło nie tylko Towarzystwu Bibliofilów, ale również drukarni. Poza wydawnictwami bibliofilskimi do pracowni Mazurkiewicza spłynęły bowiem wszystkie poważniejsze zamówienia z terenu Łodzi. Przykład oddziałał pośrednio na inne firmy drukarskie, które dla celów konkurencyjnych również zaczęły modernizować swoje wyposażenie.

Akt. *Foto: Lumir Civka*

Dopiero w roku 1958, tym razem z inicjatywy Jana Augustyniaka powstaje przy Stowarzyszeniu Bibliotekarzy Polskich Klub Miłośników Książki. Klub ten zgromadził szereg osób, również spoza grona bibliotekarzy, archiwistów, księgarzy, literatów, a nawet techników i lekarzy. Przez 8 lat swego działania potrafił dokonać znacznej pracy.

Naturalnie skromny Klub nie mógł konkurować wydawnictwami ze swym poprzednikiem. Potrafił jednak stać się miejscem spotkań i dyskusji tyczących spraw książki, zorganizować kilkadziesiąt imprez: odczytów, pogadanek, wycieczek. Inicjował wystawy i publikacje.

Obserwacja rozwoju Klubu Miłośników Książki prowadziła jednak do wniosku, że ta ściśle kameralna forma działania nie stwarza możliwości szerszego popularyzowania spraw książki, ramy organizacyjne Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich okazały się zbyt wąskie. Powstawały inne inicjatywy, jak np. udany cykl spotkań w księgarni PEGAZ pod skrzydłami Jana Gierańczyka.

Po rozwiązaniu Klubu grono osób zwróciło się do władz z prośbą o zezwolenie na powołanie w naszym mieście nowej, samodzielnej organizacji Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki. Zebranie konstytucyjne odbyto 11 lutego 1967 roku. Powołano zarząd, którego prezesem został Michał Kuna (poprzednio pełnił tę funkcję w KMK), sekretariat Towarzystwa dzierży w księgarni PEGAZ Jan Gierańczyk. Plany organizacji są szerokie. W jaki sposób potrafi ona służyć sprawie książki w Łodzi okaże najbliższa przyszłość. Trzecie ogniwo w historii łódzkich organizacji bibliofilskich zaczęło swą działalność wystawą poświęconą 40-letnim tradycjom miłośnictwa książek w Łodzi, która odbyła się w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki.

Nie trzeba być zawołanym bibliofilem, aby docenić twórczą rolę książki. Służą jej dziś w Łodzi instytucje edytorskie, w tym zasłużone już Wydawnictwo Łódzkie, liczne księgarnie i biblioteki, ale na pewno nie zabraknie pracy dla grona zapaleńców zgromadzonych w Łódzkim Towarzystwie Przyjaciół Książki.

W. A. KEMPA

Śladem przeszłości

Kiedy przed laty, jako świeżo upieczony maturzysta znalazłem się w gronie archeologów, penetrujących wnętrze pradawnej kolegiaty w Tumie pod Łęczycą, żałowałem wyboru innych, niżli historyczne, studiów. Oddalony później od śledzenia postępów tej pasjonującej dziedziny wiedzy, pozostałem przecie wierny dawnym zainteresowaniom i sympatii dla przemiłych poszukiwaczy przeszłości z Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN i Katedry Archeologii Polski UŁ. Uwaga ta wydała mi się stosowna, gdy przyszło na tym miejscu omówić zbiór felietonów o tematyce archeologicznej pióra aktualnego prorektora UŁ, prof. Andrzeja Nadolskiego, wieloletniego organizatora i kierownika łódzkich ekspedycji badawczych. Ogłoszona niedawno nakładem Wydawnictwa Łódzkiego książeczka *) przypomina raz jeszcze publikowane uprzednio na łamach „Odgłosów" znakomite felietony, wzbudzające wówczas zrozumiałe zainteresowanie zarówno w wąskim kręgu specjalistów, jak i wśród szerokiego grona czytającej publiczności. Ten drugi wzgląd sprawił zapewne, że rozproszone szkice Nadolskiego rychło doczekały się edycji książkowej.

Archeologia, jak wiadomo, to nauka, której przedmiotem jest badanie kultury materialnej dawnych społeczeństw, której ślady zachowało wnętrze ziemi. Na osiągnięcia archeologii składa się więc fizyczny i umysłowy trud „uprawiaczy" tej gałęzi wiedzy. Jakże często, gdy zawodzą ręce i umiejętności zatrudnionych do prostych prac wykopaliskowych pracowników fizycznych, archeolog, nie zważając na słotę i niebezpieczeństwo wypadku, ratuje przed zniszczeniem ledwie odsłonięty obiekt poszukiwań. Jakże często członkowie ekipy badawczej walczyć muszą z uprzedzeniami miejscowej ludności, utrudniającej prace wykopaliskowe w obawie przed znalezieniem rzekomo zakopanych w miejscu poszukiwań krociowych skarbów. A skarby te, są rzeczywiście, ale nie takie, o jakich bajdy opowiadają staruszkowie wioskowi w zimowe wieczory.

Czasem mogą to być megalityczne groby lub drewniane wiaderko z urwanym bałakiem, wyszczerbiony miecz brązowy czy krzemienny toporek. Przypadkowo odkryte srebrne dirhemy arabskie lub od tysiącleci spoczywające w Wietrzychowickim lesie szkielety dawno zmarłych koczowników, więcej potrafią archeologowi powiedzieć, aniżeli nam się może wydawać, a dla postępów nauki oznaczają skarb nieoszacowany. Ułamek normańskiego miecza lub kabłączek skroniowy odkryty przez polskich naukowców badających przeszłość słonecznej Burgundii czy Langwedocji może im przez chwilę nasunąć skojarzenie z podobnymi znaleziskami z głębszej warstwy kulturowej ojczystej gleby.

Dzięki uporowi archeologa wyłaniają się z ziemi ślady dawno opuszczonych grodzisk i siedzib plemiennych, fundamenty romańskiej apsydy w tumskiej kolegiacie lub długo poszukiwany grobowiec słowiańskiego księcia. Czasem archeologiczne odkrycie potwierdza dokument staroświecki, lub zapis średniowiecznego kronikarza, czasem cudem ocalały strzęp pergaminu wskazuje na pilną potrzebę szukania w ziemi tego, co czas dawno już starł z jej powierzchni. W ten sposób wzbogaca się nasza wiedza o przeszłości kraju, o jego mieszkańcach i ich codziennym życiu. Coraz dalej w przeszłość kieruje się oko współczesnego człowieka, bo jego potrzebom służy archeolog, bo archeologia nie jest sztuką dla sztuki, nie izoluje się od wymagań współczesności, bo jest nauką dnia dzisiejszego. W naszych specyficznych warunkach politycznych archeologia potwierdza polskość ziem nad Odrą, ukazuje kierunek ekspansji germańskiej na zachodnie rubieże Słowiańszczyzny, odkrywa dłuższe niż tysiąclecie tradycje kraju.

Piętnaście felietonów, zebranych pod wspólnym tytułem „Ścieżki archeologów", odznacza się swadą, precyzją słowa i bogactwem treści, aż dziw, że w popularnym ujęciu znalazło się tyle ważkich informacji o współczesnej archeologii. Nie jest to, oczywiście, „summa archeologiae" uczonego, erudyty i interpretatora, ale za to czytelnik spogląda na archeologię bez koturnu, bliską życiu i prawdzie. Swobodnie wplecione w tok narracji fragment kronikarskiego zapisu lub uczony wywód historyczny kapitalnie popularyzuje mało na ogół znaną dziedzinę wiedzy. Z kart książki niedwuznacznie przebija owa Ejsmondowa „tęsknota miłosna" — subiektywny ton najszlachetniejszego zaangażowania. Z uczuciem żalu zamyka się książkę, wierząc przecie, że za nią pojawią się inne, równie doskonale napisane, przybliżając pradawne dzieje naszego kraju, naszego zaś regionu w szczególności.

*) Andrzej Nadolski: Ścieżki archeologów. Łódź 1967, Wyd. Łódzkie, st. 105, ilustr. cena zł 10.

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Trawestując gorzki a dowcipny aforyzm, moglibyśmy powiedzieć: „Ze szczęściem jest jak z duchami, wszyscy o nim mówią, a nikt go nie widział". Agnes Varda chciała nam i sobie szczęście pokazać. Szukamy go więc w jej filmie i wychodzimy z kina bardzo smutni. Gorzkie jest to **„SZCZĘŚCIE"**. Bardzo to dziwny i piękny film. Dziwny, bo trudny do interpretacji, bo nie można go w całości zaakceptować, bo niejednoznaczny. Jego piękno, tkwiące w formalnym kształcie, jest niejednorodne zarówno w swej funkcjonalności, jak i w swoich jednostkowych przejawach. Mówić o pięknie tego filmu, to smakować wrażenia estetyczne, jakich dostarcza, a jest ich bezmiar, dają zadowolenie maksymalne. Świat filmu stworzonego przez reżysera Vardę każe nam pamiętać o jej praktycznych i dużej klasy doświadczeniach, jako operatora i fotografa. Jej natchnieniem stało się jednak piękno świata ujawnione ongiś przez malarstwo impresjonizmu i puentylizmu. Film Vardy jeszcze raz odsłania wszystkie niepokoje i dążenia sztuki filmowej, poszukującej bezustannie nowych źródeł inspiracji artystycznej. Zarejestrowana w filmie rzeczywistość świata, obiektywizm kamery, te dwie chluby kina w wypadku tego filmu muszą usunąć się na bok, gdyż kreacja świata podporządkowuje je sobie najzupełniej. Świat w **„Szczęściu"** jest taki,, jakim go chciała Varda dostrzec i pokazać. Jest kreacja najpełniejsza. Mimo, iż Varda posługuje się wyjętymi z realnego świata obrazami, nadaje im walory i funkcje, które sama określa. Nasycony barwami film prezentuje pejzaże i sceny rodzajowe, w których adresat odnajduje świat wielkich impresjonistów. Wiele kadrów i scen **„Szczęścia"** to ożywione obrazy Renoira z ich tematyką, kompozycją, stylistyką i kolorystyką. Robi o Varda świadomie, apeluje do ogólnokulturowych doświadczeń swoich widzów, składa hołd wielkim mistrzom, spłaca długi, jakie kino u nich zaciągnęło. Jej obrazy to jednak nie falsyfikaty, to również, może wbrew pozorom, nie tylko laurki. Jej obrazy pełnią w filmie inną funkcję aniżeli dzieła wielkich poprzedników. Varda nie odkrywa nowych prawd o świecie, ona ten świat wpisuje w swoje o nim marzenia, Varda przecież szuka szczęścia. Impresjoniści zażądali prawa do indywidualnego, najosobistszego widzenia świata, Varda przy ich pomocy szuka prawdy w marzeniu. Jej marzenie jest piękne, lecz, jak mówiliśmy wcześniej, niejednorodne. Przepiękne, plastycznie konsekwentne, impresjonistyczne kadry czy ujęcia (przecież jesteśmy w kinie) przeplata Varda brutalnie obrazami z innego już świata. Ze zdumieniem patrzymy na kadry, które znamy z zupełnie innych galerii. Proza rzeczywistości wkracza w marzenie. W poszukiwaniu szczęścia docieramy do świata jego reklamy. Tym światem są propozycje wielkich magazynów. „Paris Match", „Epoca" „Vogue", skromniutki „Przekrój", darzą nas przecież nieustannie obrazami szczęścia. Ileż marzeń budzą przepiękne fotografie pięknych kobiet w jeszcze piękniejszych toaletach, w cudownych mieszkaniach, czy u boku „Cadillaca". Znamy z magazynów obrazy idealnych szczęśliwych rodzin, obrazy idylli miłości. Znamy wzorce gestów, mimiki, wzorce kobiecego czy męskiego piękna. To już stereotypy szczęścia powielone w nieskończoność przez całą machinę reklamy, która nie bez wpływu pozostaje na wszystkie inne sztuki masowe. Te reklamowane stereotypy szczęścia znajdujemy i w filmie Vardy. Burzą one jedność stylistyczną filmu, przywracają jednak trzeźwość spojrzenia i równowagę ducha, sprowadzają nas w świat, w którym żyjemy. Bo ostatecznie przy jego pomocy, choć w marzeniu, szuka Varda szczęścia. Dziwny jednak jest ten świat ze **„Szczęścia"**, świadomie przekorny, ba, ale Varda jest kobietą. A na tę przekorę dali się złapać mężczyźni, dziwnie poważni, dziwnie ostro polemizujący z Vardą. A że są straszliwie serio na to dowodów szukać można choćby w polskich recenzjach **„Szczęścia"** podpisanych przez znakomita męską połowę klanu krytyków filmowych.

Wielkie rozprawy i polemiki z moralnymi i obyczajowymi propozycjami Vardy, doszukiwanie się banału, degrengolady moralnej i intelektualnej, obdarzanie jej epitetem współczesnej sufrażystki, która nie udźwignęła ciężaru podjętego problemu, to główne tezy większości opinii, które pojawiły się w polskiej prasie. Panowie, więcej powagi! W Vardzie znaleźliście partnera i to bardzo inteligentnego, skoro wywiódł was w pole. Popatrzmy na to, co nam Varda zaproponowała.

Uroczy Franciszek, przyzwoity człowiek, zarabiający na życie rzemiosłem stolarskim ma przemiłą żonę i prześliczne dzieci. Są szczęśliwi. Franciszek spotyka Emilię, urzędniczkę na poczcie. Poznali się, pokochali, są szczęśliwi. Franciszek kocha obie kobiety, darzy je szczęściem, chce, aby ich życie w tym układzie toczyło się dalej. Ale żona Teresa, obdarowując męża ostatnim gestem miłości, odchodzi. Jej śmierć nie będzie przeszkodą dla dalszego szczęścia. Ochłonawszy z rozpaczy Franciszek wprowadzi w swój dom Emilię, która będzie żoną i matką dzieciom z poprzedniego małżeństwa. Idylla trwa dalej. To naprawdę nie jest wulgarne streszczenie, taka jest fabuła filmu,, takie są dzieje bohaterów, a że pięknie w filmie opowiedziane i pokazane, próbowaliśmy wcześniej powiedzieć.

Opowieść o bohaterach, prezentacja ich moralności, to przecież jeszcze nie jej akceptacja. Varda się nigdzie pod nią nie podpisała. Varda szuka szczęścia i wcale go nie znajduje w postawach swoich bohaterów. To nie jest propozycja szczęścia, to egzemplifikacja niemożności jego znalezienia. Agnes Varda mówi, „Szczęście to stan łaski". Tym stanem łaski, niedostępnym dla większości ludzi zostali obdarzeni jej bohaterowie. Kim oni są? Uroczymi prostaczkami, ich piękny świat, jest jednak bardzo mały, tak jak oni są mali. Żyją w świecie instynktów, które pozwalają im nie myśleć. Chłoną ten świat zmysłami, tak jak Varda każe nam chłonąć obraz świata zaklęty w filmie.

Ale Varda nie pozwala nam na zmysłach poprzestać, budzi wrażenia estetyczne i apeluje bez przerwy do naszych doświadczeń i myśli. Gorzka jest ta bukolika Vardy, w trakcie rozwoju wydarzeń przestaje być malowaną najcudowniejszymi barwami opowieścią, a staje się lamentem. Żale Agnes Vardy są jednak głęboko ukryte, ta sufrażystka naszych czasów nie pozwala sobie na łzy. Brak możliwości znalezienia szczęścia w życiowej realności rekompensuje ucieczką w świat sztuki, w którym obraca się z taką samą umiejętnością jak ci panowie, którzy przed laty na ten kobiecy start pozwolili.

Ewa Nurczyńska

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

Projekt scenograficzny do opery „Madame Bovary" w Zurychu.

OPERA „MADAME BOVARY"

■ Przez trzydzieści lat znany kompozytor szwajcarski Heinrich Sutermeister nosił się z zamiarem napisania opery na podstawie dzieła Flauberta pt. „Madame Bovary". Dziś kompozytor ma 56 lat, ale jeszcze w czasach studenckich zafascynowała go powieść o losach niewiernej żony wiejskiego lekarza. Potem obejrzawszy ekranizację „Madame Bovary", dokonaną przez Jean Renoira, postanowił stworzyć operę.

Trzy lata temu Sutermeister odwiedził muzeum Flauberta w jego rodzinnej miejscowości w Rouen. Tam kompozytor zapoznał się ze szkicami i innymi materiałami, które posłużyły Flaubertowi do jego pracy nad powieścią. Studiując te materiały Sutermeister znalazł wreszcie to czego szukał przez lat trzydzieści — wizję postaci Bovary, jaką mógłby przedstawić w swym operowym dziele. Przystąpił do pracy. Ale przez ponad dwa lata nie był zadowolony ze swego libretta. Dopiero dziewiątą jego wersję uznał za odpowiednią. Prapremiera „Madame Bovary" odbyła się niedawno w Zurychu, budząc duże zainteresowanie melomanów, krytyków, a także wielbicieli talentu Flauberta.

„Madame Bovary" jest dziesiątą operą jaką napisał Sutermeister.

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL KSIĄŻKI W NICEI

■ W czerwcu przyszłego roku odbędzie się w Nicei Wielki Międzynarodowy Festiwal Książki. Przybyć tu mają z różnych krajów pisarze, krytycy, wydawcy, ilustratorzy książek. Przewidziane są konferencje, dyskusje, seminaria. Będzie też szereg wystaw najlepszych ilustracji do książek i arcydzieł introligatorstwa. Odbędą się przedstawienia operowe i teatralne. Każdy kraj biorący udział w tym festiwalu ma posiadać swój własny pawilon, w którym prezentować będzie swe osiągnięcia w dziedzinie wydawnictw książkowych.

„CZŁOWIEK I MORZE"

■ Taki jest tytuł międzynarodowej wystawy fotografii artystycznej, która odbędzie się w lecie tego roku w Zadarze w Jugosławii. Udział w wystawie zgłosiło już ponad tysiąc fotografików z czterdziestu siedmiu krajów.

SPRZEDAŻ NIE PUBLIKOWANEGO OPOWIADANIA ERNESTA HEMINGWAYA

■ Maszynopis nie opublikowanego dotąd opowiadania Hemingwaya pt. „Black Ass at the Cross Road" oraz kilka autografów wielkiego pisarza będą wystawione na licytacji w Nowym Jorku.

Opowiadanie liczy 26 stron maszynopisu, widnieją na nim własnoręczne poprawki autora. Tematem tej prozy jest jeden z epizodów drugiej wojny światowej.

CZESKI PRZEKŁAD „BENIOWSKIEGO"

■ Wydarzenie literackie: Hana Jechova, młoda pisarka czeska, profesor Uniwersytetu w Ołomuńcu, tłumaczka wierszy lirycznych Juliusza Słowackiego i „Kordiana", a także książek Schulza, opublikowała piękny, poetycki przekład „Beniowskiego". Ukazał się on nakładem praskiego wydawnictwa „Mlada Fronta" w serii „Kwěty poezie" w pięknym wydaniu graficznie opracowanym przez Sylwię Vodakovą, z objaśnieniami tłumaczki i posłowiem znakomitego badacza-polonisty, prof. Karola Krejciego.

„W JAK WIETNAM"

■ „V comme Vietnam" pod takim tytułem Armand Gatti napisał sztukę sceniczną, która wystawiana była w szeregu miast Francji, a ostatnio nadana została przez paryską telewizję.

„W jak Wietnam" jest aktualną sztuką polityczną, opartą na autentycznym materiale, faktach, dokumentach, oficjalnych oświadczeniach politycznych, na danych statystycznych wreszcie.

Sztuka Armanda Gatti wzbudza wielkie zainteresowanie. Dość powiedzieć, że w Tuluzie, mieście liczącym 260 tysięcy mieszkańców „W jak Wietnam" obejrzało aż 50 tysięcy widzów.

Akcja sztuki rozgrywa się nie tylko w Wietnamie, niektóre jej sceny autor przeniósł do Pentagonu. W postaciach działających łatwo jest odkryć osoby takie jak McNamara, prezydent Johnson, generał Westmoreland itd.

Na tle szeroko zarysowanych wydarzeń politycznych i wojennych autor szkicuje historię dwojga ludzi, których łączy tragiczna miłość.

Jak ujął dramaturg dwie przeciwstawne sobie siły polityczne i zbrojne? Z jednej strony amerykańska machina wojenna, z drugiej — walka całego narodu o swe wyzwolenie. Amerykańscy agresorzy w sztuce Armanda Gatti pokazani są jako armia najemników-robotów, których działanie porównać można by do cybernetycznej maszyny. Ta odczłowieczona maszyna wojenna załamuje się w zetknięciu z żywymi ludźmi, z ich świadomością ideową, z ich patriotyzmem.

„LABIRYNT SZTUKI FANTASTYCZNEJ".

■ Niedaleko Rzymu, w ogrodzie, wśród gąszczu drzew i krzewów ujrzeć można posągi o przedziwnych kształtach, kamienne monstra, dziwaczne kolosy, bajeczne zwierzęta. O tym opuszczonym parku i pozostawionych tam dziełach sztuki napisał książkę Gustave-Rene Hocke pt. „Labyrinthe de l'Art fantastique".

Ów fantastyczny park niesamowitości powstał w połowie szesnastego wieku, założony przez Florentyna Bartolomeo Ammanati. Dzieła sztuki tego dziwnego ogrodu są charakterystyczne dla manieryzmu. Cóż to był ten manieryzm? Przejawił się on w latach ok. 1530 — do 1600 w malarstwie, rzeźbie i architekturze. Charakteryzował się silną stylizacją formy, niespokojną kompozycją, wysmukłymi proporcjami przedstawianych postaci. Głównymi przedstawicielami tego kierunku byli Bronzino, Parmegianino, Gulio Romano. Inspiracją manieryzmu były podobno niektóre z dzieł Michała Anioła, na które patrząc, widz odczuwał uczucie czegoś potężnego i groźnego, niemal przerażającego. Artyści młodej generacji, zrywając z ówczesnymi dotychczasowymi kanonami sztuki chcieli wyrazić nowego człowieka, który według nich łączyć miał w sobie refleksyjność, skłonność do marzeń, fantastyki i melancholii.

Pojawiały się obrazy gdzie ważki miały twarze kobiet, a mężczyźni zamiast nóg mieli kwiaty. Nieco później Agostino Remelli tworzy kwiatowe organy, zaopatrując je w skomplikowany mechanizm, który pozwalał na słuchanie sztucznego szczebiotu ptaków. Ten odrębny, sztuczny i dziwaczny świat manierystów staje się panseksualny. Dla Cavalier Marina nawet morza, nawet jeziora kochają się, a burze na morzu, to w jego pojęciu, miłosne westchnienia żywiołów. Niekiedy ten naiwny wszechseksualizm wyrażał się w formie po prostu pornografii.

Fabius Gugel: „Pejzaż niesamowity" (XX w.)

ANTONI SZRAM

Aukcja

Nie byłem w tym roku na aukcji obrazów, ale ci co byli twierdzą, że był ścisk i tłok na tym dorocznym jarmarku dzieł sztuki. Tym razem dział się on 14 czerwca br. w galerii Pałacyku ZMS przy ul. Piotrkowskiej 262. Nie będę więc pisał co widziałem, ale co potem usłyszałem. Nawiasem mówiąc — to potwierdziło mój skromny pogląd krytyczny na podobne przetargi, w których uczestniczyłem. Tak czy inaczej aukcja obrazów wypadła na pewno pomyślnie dla kupujących. Zlicytowali oni malarzy i grafików gładko, zostawiwszy ich jednak w niemałej rozterce. Pocieszeniem dla wystawców mogła być świadomość, że zakupiono 90 proc. oferowanych prac.

Za ile kupowano? Odgadnięcie nie jest trudne, zresztą utrwalone protokólarnie. Najdroższy obraz nie przekroczył 1000 zł, najtańszy kosztował złotych dwieście z groszami.

Jak widać, artyści plastycy nie mogli czerpać z takiej aukcji — dostępnych przy innych okazjach radości... Chociaż wygranie w tak denerwującej „konkurencji" też jest ważne.

Sprawa aukcji — słuszna i jednocześnie niesłuszna — ma i tak ogromne znaczenie dla samego środowiska, które — jak żadne w Polsce — nie potrafi jeszcze siebie „dobrze sprzedać".

Nie ma co udawać i pisać nagle z entuzjazmem lub lirycznym patosem o aukcji. Inna rzecz, że należy zdać sobie sprawę z faktu jej odbycia i potrzeby... kontynuacji. Czy słusznej?

Musimy najpierw zrozumieć, że jest to impreza fantastyczna ale wobec konkretnych warunków, w jakich się ją urządza — upokarzająca dla artysty-plastyka, przeżywającego tam osobistą tragedię. Krótko — ale zawsze... 500 złotych polskich za obraz. Za ten sam obraz instytucje państwowe płacą pięciokrotnie. Czyżby więc przepłacały?

Coś tu niedobrze. Albo dokształćmy nasze społeczeństwo, przekonajmy do wartości i c e n y współczesnego dzieła sztuki, albo zniwelujmy tę różnicę w klasyfikacji: Co? Dla kogo? Wiadomo, że na podobnych rozwiązaniach zawsze można budować na dzieje. Wówczas będziemy w naszych sądach i ocenach bardziej wyrozumiali. Na tym odcinku upowszechniania i pomocy artystom musi się odbyć wreszcie ewolucja. Stawiałem pytania niektórym wystawcom. Otrzymywałem przeważnie odpowiedzi wymijające, po „prostu trzeba aukcję zaakceptować i przyjąć do wiadomości". Wydaje mi się, że nie zawsze.

Przede wszystkim nie należy naginać całej akcji do gustów i poglądów estetycznych nieuświadomionego kupca, dopiero potencjalnego mecenasa sztuki. Sądzę natomiast, że zawsze należy sprzedawać interesujące graficznie i malarsko propozycje plastyczne — obrazy. Jeżeli wtedy autor sprzeda swój obraz, dobry obraz, za każdą cenę — poczytam to za sukces. Ja obrazu nie kupiłem. Łatwość jego nabycia wydała mi się mocno podejrzana, wynikała zresztą po prostu z wcześniejszej znajomości wybranej przez organizatorów kolekcji. Była to — moim zdaniem — aukcja obrazów zbywających.

Potem widziałem sporo smutnych sytuacji, w których ten i ów malarz zdobywał się na dowcip. Ci, którym nie zakupiono nic — uśmiechali się i nawet w najbardziej banalnych rozmowach przyjmowali postawę „jakby aukcji wcale nie było". Podobnie zachowywali się i ci artyści, którym licytacja obrazów zamknęła się górnym pułapem 200—500 zł. Tym, co sprzedali obraz za złotych 1000 nie stawiałem pytań. Bo i po co?

Wspomnienie łódzkiej aukcji obrazów każdego zapytanego plastyka kładło na deski, bez przebłysku nadziei.

Notatki na MARGINESIE

Zmarł Franciszek Cebo, działacz polityczny, człowiek tak pełen sił witalnych, że śmierć jego wydaje się aż niewiarygodnym absurdem.

W późnej starości, już poza życiem zawodowym i społecznym, pan Franciszek (tak jak Colas — cieśla z zawodu) — szukał jeszcze ujścia dla swej młodzieńczej, radosnej energii. I zrobił rzecz niezwykłą: w kraju ponuraków, zamanifestował beztroską radość życia, malując na ścianach swego wiejskiego domku — ogromne akty, naiwne, i pełne niekłamanego zachwytu dla kobiecego ciała.

Wynikło z tego i wiele zgorszenia, i wiele świętego gniewu na gorszyciela. A pan Franciszek, do ostatnich chwil, po prostu cieszył się życiem: był więc fenomenem jako że obowiązuje nas zasada, iż życie trzeba brać jeśli nie na ponuro, to w każdym razie na arcyserio.

●

Grupa biegłych psychiatrów orzekła, że Karol Kot jest psychopatą, który w momencie dokonywania czynu przestępczego miał znacznie ograniczoną zdolność kierowania swym postępowaniem. Przemawia za tym m.in. (cytuję) „wyjątkowość i unikalność całej sprawy".

Ta wiekopomna ekspertyza będzie — mam nadzieję — twórczo wykorzystywana przez rzeszę naszych inteligentnych morderców in spe. Nikt już teraz nie zechce mordować tradycyjnie, banalnie. Za takie morderstwa dostaje się „w czapę!" (przykład: sprawa z Żyrardowa).

Trzeba więc mordować w sposób „wyjątkowy i unikalny". Trzeba wymyślić coś tak unikalnego, by wszystkim zmrozić krew w żyłach. Można przy tym opracowaniu koncepcyjnym posługiwać się brykiem i to nie jednym (współczesny film, literatura, dramaturgia itp.). A jeśli pomysł (lub plagiat) okaże się zręczny, wtedy w najgorszym razie, gdy noga się powinie — wypadek zostanie przez psychiatrów uznany za wyjątkowy i unikalny.

●

Zaczęły się kanikuły: w czerwcowym upale i deszczu (na zmianę) pióra coraz głośniej skrzypią, sunąc z wysiłkiem po papierze. Zresztą (może właśnie dzięki temu) lektura naszej prasy staje się czasem nawet interesująca. Oto przykładowy cytat z naszego „Expressu":

„Niezwykłe szczęście staruszki. Zerwany sufit zatrzymał się na oparciu łóżka".

Dalszy porywający opis tego szczęśliwego wypadku nie jest już ważny: osłupiały czytelnik dowiaduje się tylko, że staruszka doznała silnego szoku z przerażenia. A odkładając gazety życzy sobie i autorowi notatki takiej „pełnej wrażeń i przygód niezwykle szczęśliwej starości".

●

Prasa warszawska doniosła, że na obelisku ku czci Kochanowskiego i na symbolicznej kamiennej trumience Urszulki u stóp pomnika młodzież wydrapała gąszcz inicjałów, a także napisy zgoła niecenzuralne. Podobne inskrypcje widziałem ostatnio nie raz, chociażby np. w Arkadii, na świeżo restaurowanych murach pięknych zabytkowych budowli.

I niepokoi mnie podejrzenie, że może to „wypisywanie się" na murach (autorstwo napisów z zasady przypisywane jest młodzieży) ma jakiś związek z brakiem papieru: może to skutek trudności czy niemożności „wypisania się" naszej młodzieży na łamach pism literackich?

Może otynkowane, dziewicze mury — jak kartka czystego papieru — korcą by na nich pisać?

●

Najciekawszą — i dającą mi najwięcej do myślenia — rozmową ubiegłego tygodnia była dla mnie redakcyjna dysputa z najmłodszymi poetami, którzy zdecydowali się raz jeszcze podkreślić autonomiczność swych poglądów estetycznych.

Rozmowa bardzo zresztą intelektualna toczyła się od początku do końca na tzw. wariackich papierach. Wyglądało to tak —

Najmłodsi poeci: Uważamy, że trzeba zrewolucjonizować naszą współczesną młodą poezję...

Starzy redakcyjni ramole: A macie jakiś wspólny program?

Najmłodsi poeci: Nie, nie stanowimy żadnej jednolitej grupy.

Starzy: Ale jeśli łączy was negacja współczesnej poezji, to może ogłoście jakiś swój manifest?

Najmłodsi poeci: Żeby nam potem nie wydrukowali naszych wierszy?

Starzy: No to co robić?

Najmłodsi poeci: Uważamy, że sytuacja młodzieży poetyckiej jest nienormalna.

Starzy: Napiszcie więc o tym.

Najmłodsi poeci: Żeby nas potem tępili? Ale z poglądami X, Y i Z na literaturę nie zgadzamy się.

Starzy redakcyjni ramole: To dajcie temu jakiś wyraz!

Najmłodsi poeci: Żeby sobie napytać biedy?

Tak przebiegała ta rozmowa itd. itp. — aż do pełnego kurtuazji pożegnania.

●

W ostatnim „Życiu Literackim" wyczytałem, że w tzw. sferach zapanowała moda na „czepianie się" Hamiltona. Jak moda to moda, trzeba się podporządkować — i kropka.

A zresztą Hamilton istotnie bardzo mnie ostatnio zdenerwował. W jednym ze swych felietonów napisał mianowicie: (cytuję) „Ludzie dzisiejsi mają znacznie mniej powodów do strachu niż na przykład ludzie, którzy w XVII wieku mieszkali powiedzmy pod Lwowem albo pod Stanisławowem".

Gdyby Hamilton był historykiem rzetelnym przed napisaniem tych słów zwróciłby się o konsultację do Horacego Safrina, który właśnie w tym mniej więcej czasie o którym mowa mieszkał w Stanisławowie. Dowiedziałby się wtedy, że z tym strachem nie było tak źle: Horacy Safrin w latach swej młodości bał się tylko zaprotestowanych weksli oraz męża pewnej pierwszej naiwnej.

ANDRZEJ

MĄKOWIECKI

Uciekaj przed widmem!

„Głos Robotniczy" z dnia 19 czerwca 1967 roku donosi: „7 osób w szpitalu. Tramwaj-widmo na ulicy Narutowicza.

Niecodzienny wypadek zdarzył się wczoraj o godzinie 16,05 na ulicy Narutowicza przy ulicy Piotrkowskiej. Na tył stojącego na przystanku na ulicy Narutowicza 2—4 tramwaju linii 9/4 uderzył jadący od strony Kilińskiego pusty tramwaj, bez obsługi i pasażerów. Z okien tramwajów posypały się szyby, pasażerowie pospadali z ławek, stojący poprzewracali się. Najcięższe obrażenia odnieśli pasażerowie znajdujący się na pomoście ostatniego wagonu „dziewiątki". Na miejsce wypadku przybyło natychmiast 5 karetek Pogotowia Ratunkowego. W wyniku zderzenia 7 osób zostało ciężej rannych, 16 pasażerów po opatrzeniu w Pogotowiu Ratunkowym zwolniono do domów.

Do szpitala przewieziono Otylię Korecka (Piotrkowska 82), Jana Solarka (Piotrkowska 108), Leonarda Henzelmajera (Wschodnia 70), Mieczysława Wróbla (Rewolucji 1905 r. nr 70), Katarzynę Naftarczyk (Piotrkowska 70), Jacka Nojmajera (Przybyszewskiego 4a) i 10-letniego Wiesława Hamera (Narutowicza 30).

Tramwaj-widmo, wagon silnikowy nr boczny 49, ruszył najprawdopodobniej z zajezdni. Na razie nie ustalono okoliczności, w jakich doszło do wyjazdu. Dochodzenie w toku".

Tyle reporter „Głosu".

1.

Pojechałem do zajezdni przy ulicy Tramwajowej. Stała w rozkopach. — Doły, góry i wąwozy. Stosy betonowych podkładów, sterty pordzewiałych szyn. Kopce żółtego piasku i szarego kamienia. Jakieś słupy trakcyjne, byle jak, na ziemi. Jacyś ludzie w czarnych tramwajarskich spodniach, nadzy do pasa, wymachują ospale łopatami, jakby oganiali się od much. Gorąc. Słoneczko. Paru zarzuciło pracę. Leża na niewielkim skrawku trawy, obok płyt wykopanych z chodnika. Czytają gazetki, popalają cigaretki. Czasami padnie jakieś słowo. Z tego miejsca dobrze widać ogromny napis, z którego wynika, że ta właśnie zajezdnia zdobyła pierwsze miejsce we współzawodnictwie pomiędzy stacjami ruchu. Moje gratulacje. Z tego samego miejsca można przeczytać liczne ostrzeżenia: nie upoważnionym wstęp wzbroniony, wejście na teren remizy tylko przez portiernię... Widać także niestrzeżoną pętlicę, gdzie parkował tramwaj-widmo, i wyruszył nagle w miasto, uruchomiony przez złośliwe krasnoludki.

— Jak to właściwie było? — pytam odpoczywającego akurat konduktora.

— Co: jak było?

— No, z tym widmem?

— Co to pana obchodzi?

— Ciekawość mnie męczy.

— To idź pan do dyrektora, może panu powie.

Może — myślę. — Może tak, a może nie. Ale pójdę, nic się nie martw, kochaneczku... tylko jeszcze nie teraz.

Zaczepiam na rogu grupkę tramwajarzy. Pcham się z tym swoim natrętnym pytaniem.

— Pan ześ skąd? — atakuje najstarszy.

Mówię — skąd.

Taksują mnie niechętnym, podejrzliwym wzrokiem. Nadzwyczajnie, to ja się nie ubieram, ot — koszula w kratkę, szare spodnie, sandałki. Więc ten stary:

— Wisz pan co — tu już byli z gazety. I nie tacy jak pan.

Więc mówię — przepraszam — i odchodzę.

Nie, naprawdę nie musicie mnie pouczać, że reporter tak nie postępuje, że trzeba sprytkiem, chyłkiem, rafinadą, incognito i okrężną drogą, że gdyby na moim miejscu znalazł się Egon Erwin Kisch, to nic — tylko by do tej budki koło — czy może: niedaleko remizy podskoczył, a tam przecież stoi kilku rozmemłanych tramwajarzy, towarzyskich, gotowych do rozmowy, stoją, określając niejako sens swojego istnienia, ciągnąc leniwie cienkie piwsko z grubych kufli, przestępując z nogi na nogę, choć publiczny wychodek opodal...

— Piwko — powiadam do kioskarza.

— Jakie: małe czy duże?

— Małe. O nerki się boję.

— Panie! — wtrąca się jeden z czterech tramwajarzy — już, chwalić Boga, dwadzieścia pięć lat piwo doję, a nery w porządku — klepie się wymownie po wypukłym brzuchu.

Na to replikuje filozoficznie inny tramwajarz:

— Panie Edziu, piwo, to jednemu na zdrowie, a innemu na chorobę.

— Tak jest — potakuję. — Ale fakt faktem, że gdyby nie piwo, to już może bym nie żył. W niedzielę z parku wracałem, tu się akurat zatrzymałem na przystanku, patrzę — „dziewiątka" nadjeżdża. Chciałem wsiąść, ale coś mnie tknęło, myślę: trzeba wypić piwko. Potem się okazało, że to ta „dziewiątka", co w nią tramwaj-widmo przy ulicy Piotrkowskiej grzmotnął.

— He, he — śmieje się Edzio-tramwajarz. — To już trzeci raz takie widmo po ulicy kraży.

— Dobrze chociaż, że nikogo nie zabiło — mówi filozof.

— Gdzież tam. Ledwo się spikli.

— No tak — wtracam — ale dwadzieścia trzy osoby ranne.

— Panie — oni ucinają — żeby (tu pada nazwisko), żeby on zdążył wskoczyć, nic by nie było.

Toczy się teraz opowieść o ludziach, którzy urządzili za widmem pościg, złapali taksówkę, dopadli pusty wagon przy Armii Ludowej, tam maleńki przechył, zygzak torów, widmo zwolniło, odważny tramwajarz wskoczył na stopnie, ale miał tego pecha, że trafił ręką na uchwyt ruchomych drzwi, zaczęły się obsuwać, razem z nim, przytrzasnęły go do framugi, wypadł na bruk, potłuczony, okrwawiony, a widmo dalej, coraz prędzej, już przy Kilińskiego; gdyby tam akurat „jedynka", albo „piątka", to, mój Boże, lepiej nie myśleć ilu zabitych i rannych, może nawet łódzka kraksa stulecia; ale przebrnął jakoś skrzyżowanie, nikt go już nie gonił, ci, co wiedzieli, że musi się wreszcie o coś zatrzymać, zamarli ze strachu...

— No, idziemy — powiedział Edzio.

No, odeszli. On, filozof, dwóch innych, markotnych w słońcu. Pozostawili mi mętną ocenę zdarzenia. Niecenzuralną. I nic konkretnego. Jakiś cień, co wprawił tramwaj w ruch. Ale ludzie wczesnym popołudniem nie zostawiają cienia. Mają oczy, twarz, ręce, z daleka ich widać. Więc nie wierzymy w żaden cień. Wierzymy za to w tramwajarza, co usiłował tramwaj zatrzymać.

2.

Sekretariat dyrektora. Mówię, że z prasy. „Nic z tego — informuje blada panienka.

— „Zajęty". „To może zastępca?". „Wyjechał". „Ale jest jeszcze drugi zastępca". „A jest. Na parterze".

Gabinet zastępcy dyrektora do spraw ekonomicznych. Wchodzę. Witam się. Mówię o co chodzi. Pan dyrektor prosi o legitymację. Pokazuję.

— Ale co ja panu powiem?

— To, co pan wie.

Pada pierwsze znamienne oświadczenie — wagon zaparkowany został na pętlicy nie strzeżonej, podczas gdy w miejscach strzeżonych, i w remizie, było prawie pusto.

— Czy to w zgodzie z przepisami?

— No, nie — mówi zastępca. — To była ze strony pracowników MPK pewna przewina, pewne wygodnictwo.

I zastrzega się zaraz, że pracownicy wagon rozbroili, zabezpieczyli, że — poza tą pętlicą, wszystko w porządku.

Patrzy mi w notatki, każe sobie czytać, to co zapisałem. Rad by wycofać pierwsze oświadczenie.

Wychodzi. Wraca.

Ktoś melduje, że dyrektor już wolny.

Zastępca towarzyszy mi.

Sekretariat. Gabinet dyrektora. On sam. Ja i zastępca — siadamy.

Wracamy do rozmowy. Dyrektor, sympatyczny, bardzo chciałby mi pomóc. Ale nie może. Dla dobra śledztwa. Nikt go wprawdzie nie prosił o milczenie, ale on woli nie mówić. Czy sprawca złapany? Podobno. Jakiś szesnastoletni chłopiec.

— Jak to możliwe, aby chłopiec mógł uruchomić, wymanewrować z pętlicy — zabezpieczony wagon?

— To niemożliwe — przyznają obaj dyrektorzy.

— Więc może wagon nie był zabezpieczony? Może pracownicy MPK nie mówią prawdy?

— Może...

— Albo to nie był chłopiec. Tylko ktoś, co zna się na rzeczy. Ktoś, kto umie wprawiać w ruch najbardziej zabezpieczony tramwaj?

— Może... Poczekamy na wynik śledztwa — mówi dyrektor.

I nagle zaczyna mnie pouczać, a także pouczać całą prasę, że dość już tych krzykliwych, sensacyjnych tytułów — TRAMWAJ-WIDMO, itp., że dość już tego czepiania się MPK...

Jestem głęboko wstrząśnięty dyrektorską reprymendą. Ale, o ile sobie przypominam, nikt dotąd MPK nie zaatakował; na drugi dzień po wypadku — w „Dzienniku Łódzkim" ukazał się grzecznościowy artykulik pod optymistycznym lecz nieuzasadnionym tytułem: „To nie był tramwaj-widmo". Najostrzejsze sformułowanie w tej pracy brzmi: „Zaistniała tragedia nie najlepiej świadczy o pracownikach MPK, których zadaniem było roztoczenie dozoru nad stojącymi tam wozami". Cholera jasna! Szlag z takim pisaniem. Jak będziemy tak pisać, to nas widma zaczną gonić w piętkę. Jak będziemy tak pisać, to tramwajarze będą pili piwko zamiast „dozór roztaczać"...

Ale dyrektorowi i takie pisanie psuje krew.

— Tu trzeba skrytykować zbrodniarza, a nie nas!

— A zna pan zbrodniarza?

— Nie, ale można przecież anonimowo.

Chryste Panie! Gal Anonim. I jaka szlachetna pasja krytykancka. Tylko, że szanowny panie dyrektorze, zbrodniarzy się nie krytykuje. Zbrodniarzy się sądzi. Po katastrofie kolejowej w pewnym europejskim kraju — spadł na zbity łeb ze stolca minister komunikacji. Jakby w amerykańskich bazach wojskowych nie pilnowali pijanych kaprali, to wyleciałby w powietrze cały świat.

Ale dyrektor ma w ręku jeszcze inne atuty:

— Straty minimalne — powiada.

— Jak to — minimalne?

— No tak. Uszkodzenia wszystkich czterech wagonów szacujemy na osiemnaście tysięcy.

— Faktycznie — niewiele. A ranni?

— W porządku — wtrąca zastępca. — Ich życiu nic nie zagraża.

Słowem — czysta sielanka. Ale ja sobie myślę, że gdybym był wśród tych rannych, że gdybym, dajmy na to, stracił oko, nogę, albo prawą rękę — to moja nienawiść goniłaby pana dyrektora, i pana zastępcę, do końca ich sielankowego życia, i do końca mego własnego życia, które urwałoby się pewnie pod jakimś tramwajem.

3.

Pożegnałem pana dyrektora i pana zastępcę, który z grzecznym uśmiechem odprowadził mnie do drzwi i cofnął się zaraz, bo miał jeszcze z szefem jakąś mowę.

Znowu oto rozbabrana remiza, co pierwsze miejsce zajęła z wszystkich stacji ruchu. Ludzie nadzy do pasa, w czarnych tramwajarskich spodniach — rabotają ospale, a inni — w myśl pewnego przysłowia — leża na trawce, papieroski kurzą. Ech, nie ma to, jak w naszej kochanej ojczyźnie — czy się stoi, czy się leży, czy przy kiosku czatuje piwo ciągnąc — zawsze dwa patole trzydziestego lecą.

Na przystanku spotykam tego starego tramwajarza, który mi odmówił informacji.

— No, jak — on pyta — byłeś pan u dyrektora?

— A byłem, byłem.

— I co?

— Ano, nic. Powiedział, że w remizie jest miejsce na sto pięćdziesiąt wagonów, a tych znowu w sumie jest dwieście dwadzieścia, więc siedemdziesiąt trzeba parkować pod gołym niebem.

— Sprawiedliwie — powiedział. Ma głowę.

— Oj ma, ma...

— I ludzki człowiek.

— Ludzki.

— Bo jakby miejsce pod dachem było, to by nie było tramwaju-widma.

— No, niezupełnie. Wtedy, w niedzielę, w remizie były pustki. Dyrektor powiedział, że to z waszej strony, przewina, wygodnictwo, żeście się nie spisali.

— Tak powiedział?

— Tak.

— Takich rzeczy prasie się nie mówi. Ale pan chyba tego nie zamieści?

— A skąd. Takich rzeczy się nie pisze.

Lewym okiem

TROCHĘ PÓŹNIEJ!

Jak pada deszcz, a człowiek siedzi w sanatorium, to można albo patrzeć w telewizor, co (teraz dopiero, nie mając w domu telewizora widzę to w całej rozciągłości) doprowadza do nowych poważnych schorzeń i skrzywień, zwłaszcza umysłowych, albo po prostu czytać. Nareszcie czytać długimi odcinkami, całe rozdziały naraz, z możliwością pomyślenia sobie nad tym i owym, czytać rzeczy właśnie trudne i nabite treścią, nie „coś lekkiego". Na przykład Zabiełły „O rząd i granice". Znakomita rzecz. Cała poświęcona dyplomatyczno-politycznym posunięciom wielkich i małych graczy na szachownicy świata podczas ostatniej wojny, posunięciom mającym na widoku ustalenie powojennych granic Polski. Pamiętam jeszcze spalonych żywcem chłopców i dziewczyny, o których przedśmiertnym losie lepiej nie mówić. W książce Zabiełły nie ma o tym ani słowa. Ale to dla mnie wstrząsająca książka i iluż takich spalonych chłopców płaciło za jedno niewczesne słowo, za zmarszczenie brwi, za osobiste ambicje wcale sobie nieznanych ludzi?

Książka Zabiełły napisana jest na podstawie wspomnień własnych (bo autor jest byłym dyplomatą) i — w dużej mierze — pamiętników cudzych. Pamiętniki stanowią ponoć jedną z najchętniej czytanych kategorii piśmiennictwa, niektóre pamiętniki biją poczytnością na głowę kryminały i thrillery. Dlatego pamiętniki piszą dziś wszyscy.

Nie ma w tym nic złego, przeciwnie — utrwalmy pismem ulotne chwile, skoro nie wynaleziono jeszcze innego sposobu ich utrwalania i skoro antypowieść podoba się ledwie paru cmokierom z redakcji pism literackich. Pamiętniki są cudną lekturą, rozszerzają krąg naszych najbliższych znajomych, mówią nam o nich rzeczy śmieszne, poufne, intymne, drastyczne...

Otóż to, jakoś przestał się liczyć moment, nazywany dawniej delikatnością, taktem. Skoro pamiętniki publikował zaraz po wojnie (w „Nowinach Literackich") trzydziestoparoletni Janusz Minkiewicz, to oczywiście nie mógł pominąć ludzi, żyjących wówczas i do dzisiaj. Minkiewicz robił to zresztą w sposób złośliwy, ale rozbrajający, nie mówił za dużo, mówił tyle, za ile w Ameryce nawet by zapłacili jako za dobrą „publicity". Na Putramenta obrażało się już wiele osób za jego taśmę pięćdziesięciolecia, czym niezrażony zapowiada dalszy ciąg, coraz bliższy naszym czasom. Putrament jest pisarzem walczącym i walczy wszystkimi metodami.

A oto „Miesięcznik Literacki" opublikował fragmenty przygotowanych do druku wspomnień, napisanych w Paryżu przez Stanisława Lama, przedwojennego krytyka literackiego, a przy tym — jak się okazuje — bywalca, znającego „połowę Warszawy", oczywiście tej koteryjno-literacko-politycznej. Jeszcze chodzą po świecie resztki środowiska, które opisuje Lam. A jak opisuje?

Być może grała tu jakąś rolę niemożność — dobrowolna niemożność — powrotu. Autor znalazł się samochcąc na marginesie życia publicznego, ma o to pretensję do całego świata i pretensją ta wyłazi jak szydło z worka z każdego kostycznego zdania pamiętnika: każde jest złośliwe; wszyscy ludzie są brzydcy i najciekawszymi, wyróżniającymi ich cechami są cechy ujemne.

Antoni Borman (wydawca przedwojennych „Wiadomości Literackich"): „Otoczony przystojnymi młokosami (niekoniecznie piszącymi), grymasy dziewczęce, powłóczyste spojrzenia".

Ludwik Eminowicz (poeta): „Brzydki, kobieciarz. Coraz to nowa narzeczona — może imponowały im dawne wiersze, a może umiał czym innym przykuwać ich serce... na krótko".

Ferdynand Ossendowski (powieściopisarz): „Chemik, który podczas rewolucji fabrykował mydło w Charkowie i widać tym mydłem zamydlił oczy Zachodowi".

Zofia Stryjewska (malarka): „Zawsze przy stole z czystą wyborową, z tęgą głową do interesów."

Mieczysław Grydzewski (redaktor „Wiadomości Literackich"): „Historyk, który nigdy nic ze swych studiów nie ujawnił."

Stanisław Ostrowski (rzeźbiarz): „Trzymał się klamki rządowej, artysta w życiu: jeśli szedł na kolację, to tylko z kimś wpływowym, dającym rękojmię nowych zleceń na pomniki i popiersia."

I tak o wszystkich i o wszystkim na paru zaledwie stronicach fragmentów pamiętnika. Nawet jak ktoś wołał, to „darł się na całe gardło", nawet fotele w hotelu Europejskim były „arcyniewygodne". Można i tak, chociaż nie wiem czy trzeba. Jeśli nawet można — to później, trochę później, gdy ludzie odejdą, gdy ich żywe serca i ambicje bić przestaną, a rzeczy ułożą się w historyczne warstwy, czytane inaczej przez późnych wnuków, niż przez ludzi, którzy tamto wszystko pamiętają.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Halina Bekowa (redaktor techniczny), Wacław Biliński (redaktor naczelny), Konrad Frejdlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Ewa Siemińska, Włodzimierz Stokowski (z-ca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 344-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 2048. VII. 1967 r. O-2.